



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Kanton Grizonów i rodzina Camenisch na Heinzenbergu. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżbę Orzeszkową. — Korespondencja z Paryża. — Lamartine. — Pogadanka. — O ubiorach.

KANTON GRIZONÓW

I RODZINA CAMENISCH NA HEINZENBERGU.

(Dalszy ciąg).

Wogóle zatem w całym tym kantonie, tak oświata naniesiona, jak ta która się dała zaszczerpieć przez miejscowe naukowe zakłady, jest cząstkowa, indywidualna, prawie tylko w rodach niektórych utrzymująca się wyłącznie, bez rozlewania się na ogół, bez wpływu na stan umysłowy i obyczaje w massach ludności. Nie mówię już o rodzinach z dawniej arystokracji, które jakkolwiek tu dzisiaj bez żadnej władzy i wpływu, lecz do wyróżniania się tradycją nawykłą, odmiennym żyją obyczajem i nie zaniebują środków, jakie do kształcenia ich potomstwa podają miejscowe zakłady, a majątek ułatwia im prócz tego zasilanie się zagranicznym światłem; różnica ta była długo wspólnie wszystkim ludom właściwa i jeszcze nie znikła zupełnie, jeżeli już nie w wyższości oświaty, to pod pewnymi innymi względami. Bardziej jeszcze powszechną i naturalną jest i będzie odrębność miejskich ludności od mieszkańców siół, rolnicze i pasterskie wiedzących życie. Lecz jeżeli każda z tych warstw społeczeństwa mniej więcej w jednej z sobą mierze stoi lub postępuje w pojęciach, oświacie i zwyczajach, to w szczególności ta ostatnia jest zwykle zupełnie jednolitą wszędzie, jeśli nie w całym każdym narodzie, to w każdej prowincji zawsze, i wiadomość o jej obyczajach można streścić w opisie jednej miejscowości.

Ale w *Graubünden*, małej prowincji małego kraju, warstwa plebejuszowska wieśniaczymi zajęta pracami, różną jest w każdej dolinie, często w każdej wiosce, czasem w pojedynczej chatce.

Jeden z przykładów szczególnie godnych uwagi, obrazek z rzeczywistości jak najwierniej zdjęty odmaluje w części tę oschliwszą mieszaninę światła i dzikiej niewiadomości, zespolenie starożytnych i nowych obyczajów.

Niedaleko miasteczka *Thusis*, od gościńca pocztowego do *Chur* poprowadzonego doliną *Tomliaska* wzdłuż *Renu* z biegiem rzeki, przy wiosce *Kazis*, mała drożyną zwraca się na lewo i pnie się na wolną zrazu pochyłość wyżyny *Heinzenberg*, kłoby się chciał nią udać musi iść piechotą, bo tu nie znajduje ani konia ani osła, koń za kosztowny, osioł nie

wytrzyma górskiego zimna, — ani jeździć by nie można, gdyż ta dróżka równie jak i inne po dolinie i górze snujące się, są w stanie tak pierwotnym, że mieszkańcy ludnych równin mogliby łatwo uwierzyć że tu są wprowadzeni w patryarchalne Noego wieki.

Zapuszczający się tu podróżny może dowolnie użyć piękności wspaniałej i w odmiany bogatej przyrody, lecz tylko zabrawszy z sobą potężny zapas cnót wielu: cierpliwości, wytrwałości i pobłażania wielkiego dla dróg i ścieżek, dla domów i ludzi, a za to w dodatku tę jeszcze korzyść odniesie, że po tych mnogich trudach i nieprzyjemnościach, nie jedne wygody i ulepszenia w rodzinnych stronach więcej cenić będzie. Po obu stronach tej drogi i pastwiska, rozsiane drzewa owocowe i porozrzucane gdzie niegdzie murowane chatki, pokryte sporemi kamieniami poukładanymi na dachu wśród grubej mchu warstwy. Jeśli znużony długim pod górę pochodem, napotykając domostwo tuż obok drogi, zatrzymasz się przy nim chwilę, a spragniony poprosisz mieszkańców o szklanek dla naczepnięcia kryształowej wody z szemrzącego u stóp twoich źródła, usłużą ci chętnie odpowiadając ci przytem w romansowej mowie. A znów często w następnej w niemieckim zagadną narzeczu, i to cię nieraz spotka na przemian. Idąc od podnóża góry około półtorej godziny niepośpiesznym krokiem, dochodzi się wraz z powyżej wspomnianą dróżką do małej wioski *Sarn*. Najpierwszy budynek przy wstępie do wsi, jest dom murowany, dachówką kryty dwupiętrowy, największy z nielicznych budowli składających tę wioskę. Ściany ma grube niby mury forteczne: mieszkańcy się tak obwarowali przed srogim nieprzyjacielem, ostrem i przenikliwym zimnem. Skutkiem tejże samej przezorności okna wyglądają na strzelnice, małe, wąskie, o dwóch szybach na wysokość, o jednej tylko szerokie. Od *Sarn* potrzeba wspinać się jeszcze cztery godzin pod górę by dojść do wierzchołka *Heinzenbergu*, którego grzbiet długi wieńczy ciemna zieleń jodłowych lasów; tam zaś gdzie wioska ta zbudowana, jest to właśnie miejsce w którym góra podnosząca się dotąd powoli, zaczyna być bardziej stromą, tylna zatem ściana domu o którym mówiliśmy, jest dołem przyparta do góry, i od tyłu dom ten ma tylko jedno piętro. Dół zatem nie może być mieszkalnym, tworzy właściwie rodzaj suterreny służący za przytułek nocny dla kóz, i skład na gospodarskie sprzęty, a do mieszkania wchodzić potrzeba po schodach. Front o kilku oknach nie ma wcale drzwi, z jednego boku domu znajduje się podwórze i główne wejście przez wschody wewnętrzne, z drugiego zewnętrzne schody prowadzą

do zabudowań gospodarskich i do niewielkiego ogrodu z mizernymi owocowymi drzewami.

Pyszny czerwcowy poranek, — gdyż najpiękniejsza pora roku w tych stronach teraz właśnie nastaje, Alpy i wyżyn grzbiety dopiero teraz wiosenne przywdziewają stroje; — widok na okół przecudny. Oko patrzącego z pochyłości góry ogarnia panoramę wielką, wspaniałą. U stóp piękna dolina, przernięta szumiącym *Renu* potokiem, nad przeciwnym rzeki brzegiem najrozmaitszych kształtów skały i góry. Głowy jednych smutnie łysina świecą, drugich wiekową ubielone siwizną, a inne dumnie podnoszą czoła uwieńczone jak *Cybela* z wież koroną, zdają się uważać za boginie ziemi, bo z wnętrza tych baszt i murów wychodzą ciągle jeszcze coraz nowe pokolenia dawnych ziemskich bogów, którzy i dziś z placu swych uroszczeń tylko krok po kroku ustępują z oporem, nagle natarczywością strasznych swych antagonistów, wciąż naprzód postępujących pojęć i idei. Inne znowu zasepione, ponure, dźwigają tylko głuche ruiny, gdzie życie już dawno zagasło: dziś tam młody zagajnik porasta na okół zwalisk przeszłości, pamiętek zamierzchłych rycerskich czasów. A na szczyty wyniosłych gór, baszt i ruin, wklada słońce złotą ze swych promieni koronę, i wyglądając z po za tych głów monarszych, rzuca resztę swego światła naprzeciwległy pochyły obszar góry *Heinzenberg*, która rozweselona śmiejącem się do siebie słońcem, odpowiada mu uśmiechem wdzięcznym, lecz prostym, wieśniaczym jak jej powierzchowność cała. Głową nie sięgając niebios, ubrana tylko w siola i chatki, w zielone łąki, łany zboża i rozkwiecione jabłonie i wiśnie, a coraz wyżej w brunatne szalasy i ciemne lasy świerkowe: dół tylko jej skromnej choć różnobarwnej szaty srebrna garniturę wstążka młodocianego *Renu*. Lecz się zadowolniona wydaje z podrzędnego przeznaczenia swego. Skłniona się na niej źródła jasne, jakby błękitne pogodne oczy, spoglądające z radosnym podziwem naiwnego wieśniaka na dumny i poważny naprzeciwko szereg majestatycznych, a groźnie imponujących panów.

A więc taki krajobraz ma właśnie przed sobą człowiek młody jeszcze, siedzący pod cieniem jabłoni, na ławce drewnianej grubo ociesanej, pochyłej z powodu spadzistego gruntu, w ogrodzie obok owego murowanego domu w *Sarn*. Twarz jego dosyć piękna, rysy regularne, włosy i broda czarna nieco kędzierzawe, ręce małe i delikatne, lat zdaje się mieć około trzydziestu sześciu. Spojrzenia ciemnych jego oczu nie zdają się być ciekawymi, ota

czających go cudów i wdzięków natury: rzekłbyś że zwrócone w głąb jego duszy, za jakimś w niej odbijającym się obrazem z zajęciem nieprzerwanie gonią. Długie upływają godziny, a on w dumaniach wciąż głęboko pogrążony.

Przerywa w końcu te rozmyślenia wejście do ogrodu kobiety lat podeszłych, szczupłej, drobnego wzrostu, dobrotliwego wyrazu twarzy, w czarnej wełnianej sukni, i takimże wielkim fartuchu, w jedwabnym czarnym czepku, ogarniowanym w kółko twarzy czarną koronką, z tyłu szeroko na kark spadającą. W ręku ma pończochę, której druty szybko pod wprawnymi palcami migają: ani chodzenie, ani rozmowa nie przerywają ich jednostajnego ruchu.

— Dzień dobry ci, mój Georg, rzecze zbliżając się do samotnego marzyciela. Przychodzę ze złą dla ciebie wieścią, że dzisiaj znowu sam pozostałeś, bo siostry musiały wyjść z domu. Kunegunde posłałam w górę na pastwiska dowiedzieć się do braci, a Nina chciała koniecznie Margretę odwiedzić, bośmy niespokojni ciągle o jej zdrowie, a jeśli słaba to trzeba jej tam pomóc z gospodarstwem i przy dzieciach. Poszła tam Nina od świtu i zapewne długo jeszcze zabawi. A ty czy nie bardzo źle się czujesz. Czemu się nie przejdziesz? toby cię rozzerwało trochę.

— Och moja matko, odpowie Georg nieco mrukliwie, w tej romantycznej krainie gdzie wszystko dzikością napiętnowane, ludzie jak i natura, na rozrywkach nie braknie. Gdybym tylko był zdrow i mógł brać w nich udział, ale w dzisiejszym położeniu rozrywki moje ograniczają się na przechadzkach samotnych, w których mię tylko niekiedy jakaś ludzka napotka postać, zdala mię okiem ciekawem, majestatycznym a niechętnem zmierzy, i dopiero po namyśle zapyta raczy: „*prest pi bien?*“ (jakże zdrowie?) To bardzo rozrywa i bawi!

— Cóż na to poradzić? Lepsza dla ciebie zima, bo wszyscy w domu siedzą i nie jesteś tak osamotnionym.

— A tak, odezwał się Georg z ironią: zimą inne mam znów przyjemności. Słyszę wiele nowin, a wszystkie się składają ze szczytnych uwag o siwiej i gniadziej maści krówkach, o okrągłych lub czworokątnych stosach mierzwy: oto są wielkości napętniające umysły naszych sąsiadów. Więć mię matko nie załuj, że dziś tej wielkiej przyjemności pozbawiony jestem. Bardzo mi tu miło samemu w ogrodzie, gdzie nie mi nie przeszkadza zatapiać się w myślach i używać świeżego powietrza w cieniu drzew lub grzejąc się na słońcu. Jakkolwiek życie moje może się wydać nadto jednotonnem, wszakże tak już przywykłem do niego, że mi się nie przykrzy. Nauczyłem się obywać bez towarzystwa ludzi. Stworzyłem sobie mój świat wewnętrzny, w nim żyję i działam. Dopóki choć trochę widziałem, przechadzki miały wielki urok dla mnie, bo w pamięci mojej utkwione tak dobrze nie tylko wszystkie nasze pyszne widoki, ale każdy krzaczek, nieledwie kamień każdy, więc co oczy nie dowidziały to wyobraźnia dotwarzała doskonale. Lecz teraz wzrok mój o wiele się pogorszył, nikogo już nie widzę i z trudem odbywam wędrówki po miejscach tak mi przecie dobrze znanych.

— Ale bo moje dziecko, czemu ty się nie leczysz?

— I na cóż to się przyda? Wszak mię już tylu lekarzy miało w swoim ręku, a z każdym rokiem coraz mniej widziałem. Jedyną ulgą dla mnie był tylko pobytletni w *Majensäss* (1). Tam czyste górskie powietrze, przewyborne źródła a między temi i mineralne, do tego widoki równie wdzięczne jak wspaniałe, mają zdolność pokrzepienia zdrowych i chorych na ciele i duchu. Taki zemną było. A jeszcze kiedy tam z Niną obozowaliśmy na miękkiej murawie obok brunatnej chatki górskiej, mieliśmy z sobą w dodatku towarzystwo naszych zanych przyjaciół z Zurich, to jest częste ich listy pocziwe i zajmujące. Gdy mi je Nina czytała, treść ich godziła się w moim umyśle z uroczym

obrazem pysznej alpejskiej przyrody, otaczającej nas w około; rażny szmer chłodnych źródeł i strumyków wtórował serdecznym wyrazem. Z wielką też przykrością oderwałem się od tej siedziby dla powrotu do tej szkaradnej szarej wioski, gdzie się tylko troszczą o chleb powszedni z dnia na dzień, a całodzienna rozmowa o zysku i stracie. To życie wiele nie urozmaica, nie dostarcza wcale materij do rozmyślenia. Dla tego tutaj siedząc wspomnieniami tylko się krzepię, szczęściem że to dla mnie karm niewyczerpana, bo mam ich zapas obfity i jakich jeszcze! a w wiek mój dziecinny z największą rozkoszą powracam, bo też był bardzo piękny! kiedy w niego myślą sięgnę, to mam takie wrażenie, jak gdyby wzrok mój z pośrodku szarej pustyni dojrzał z daleka ułudne świetne obrazy jakieś odległej zaczarowanej krainy. A wszakże *Versam* tylko o mil pięć z tąd odległe, tylko że po drugiej stronie góry, a świat tam całkiem inny. Tam przyroda i ludzie, tak czysti, tak wzniośli, że wracając do *Sarn* zawsze się czułem nieszczęśliwym. Z tem wszystkim, jak drzewo od gruntu na którym wyrosło, tak ja nie mogłem się nigdy oderwać na długo od miejsca urodzenia mojego, choć mię w niem tak wiele rzeczy razi i niepodoba się. To już szczególna słabość czy choroba, która mi nieraz była przeszkodą i tamowała niejedne zamiary i kroki.

— Bardzo mi boleśnie, mój synu, że ci nie możemy więcej uprzyjemnić życia w rodzinnym domu.

— Daruj mi moja matko, nie powinienem tak mówić, wyście wszyscy dobrzy dla mnie, aż nadto, i ja to powinienem nieraz więcej być uprzejmym. Ale mi przebaczyć, chory zwykle bywa nudnym, suchym i nieukontentowanym. Zdrowi tego nie pojmą. Lecz i to prawda że lata w dzieciństwie spędzone w *Versam* u dziadków, żadnem późniejszym szczęściem nie dałyby się zatrzeć w sercu mojem. Dziadkowie tak byli szanowni, ciotka duchowo i zewnętrznie tak doskonała, że gdyby mi się nawet anioł z nieba ukazał, nie potrafiłbym mieć dla niego więcej czci i miłości. Zresztą wy to rozumiecie wszyscy: wszak to twoi rodzice, moja matko, i twoja rodzona siostra. Wszak i Nina choć zdrowa, czynna i tak bezustannie zajęta, że mało jej zostaje na tęsknotę czasu, a tak samo rzewnie spogląda w tę uroczą naszą dzieciną przeszłość, i nie jedne z jej wierszyków z tego samego wypłynęły uczucia. Więć się mniej więcej pojmujemy w rodzinie, ale z wioską i sąsiadami, to rzecz wcale inna i straszne byłoby te zimowe wieczory, gdy odwiedzający goście gawędzą tylko o kozach i kurach, gdyby cudnych tych rozmów nie okraszał po ich odejściu *Walterskott* lub *Pestalozzi*.

Rozmowę matki z synem przerwała ukazująca się w furtce ogrodu postać niewieścia średniego wieku, mierniej tuszy, dość słusznego wzrostu. Suknia na niej wełniana zielona, bardzo wybladła, bardzo staroświeckiego kroju, włosy płowe zaczęsanane bez najmniejszej pretensyi, cera tak ogorzała od ostrego górskiego powietrza, barwy od włosów ciemniejszej; ruchy i cały układ prostej wieśniaczki przyzwyczajonej do ciężkiej fizycznej pracy.

— Tak wczesnie powracasz Nino? — pyta matka spostrzegłszy nowo przybyłą. Jakąż wiadomość przynosisz?

— Dzięki Bogu, matko, Margreta dziś dosyć zdrowa i silna, ma tu przyjść w tych dniach. Dzieci jej bezustannie się napierają żeby je zaprowadzić do wuja Georga. Ja zaś niemając konieczności zabawienia u nich dłużej, przybiegłam co prędzej, bo straszny nawał roboty w domu.

— Bardzo się cieszę że wnuków zobaczę, ale boję się że biedny Georg znowu będzie przez nie umęczony, — rzecze pocziwa babka niespokojnie na syna spoglądając. On taki dla nich dobry, że te roztrzępane nadużywają jego cierpliwości; jak go wszystko troje obsiedą, to im musi godzinami historyjki opowiadać.

— O, co to, to wcale dla mnie utrudnieniem nie jest, wielką przyjemnością raczej: słuchaczy mam tak wdzięcznych, uważnych i zachwyconych, co oka z ust moich nie spuszcza! A przy tem dzieci choć żywe ale bardzo grzeczne, a przy ich szczebiotaniu wracam w duchu we własne moje dziecięce lata i czuję radość na wpeł z tęsknoty za temi niepowrotnymi, a jedynymi w życiu szczęściami chwilami.

— Że te lata były nam nad wszelki wyraz rozkoszne, na to się zgadzam z tobą najzupełniej, odrzekła mu Nina, ale tego powiedzieć nie mogę że mi oprócz

nich wszelkie szczęście w życiu odmówione. Chociaż i to przyznaję, że zawsze z tęsknoty sobie przypominam tę izbę o nagich brunatnych ścianach, gdzie płynęły dni tak słodko pod miłosną pieczę takich serc! Ta izba to był świat mój cały, to raj za którym tęskniłabym w najwspanialszych pałacach. I później ile razy szłam odwiedzić *Versam* stanawszy na szczyty góry, kiedy mi się po obu jej stronach rozwinął przed oczami niezmierny obszar i krajobrazy tak cudne, wzrok mój pociągała do siebie tylko tamta wioseczka wieńcem lasu otoczona, ona jedna całą moją napętniała duszę. Dziś tam nasi ukochani, śpią już pod zieloną darnią na wiejskim cmentarzyku otoczonym kłosami, i ja mój grób pragnęłabym mieć obok nich, bo mi się zdaje że i ostatni odpoczynek tam musi być słodszy niżeli gdzieindziej. Ale w mojem przekonaniu, kto nie zaznał tych błogich uciech dni młodocianych, kto nie prześnił różowych snów dzieciństwa, ten nie potrafi smakować w całej pełni szczęścia jakim późniejsze darzą lata, i ja z pewnością dla tego tak oceniam to dobre, które dziś moim udziałem, iż będąc dzieckiem tyle go doznałam. Gdyby nie śmierć ojca i innych drogich, gdyby nie twoja choroba, tobym zupełnie była szczęśliwą z tego co mię otacza, i nie innego nie pragnę. Świat dalszy bardzo piękny, spotkać w nim można wielkie uciechy mile dla umysłu stosunki, serdeczne uczucia, ale jakże przyjaźń będzie tak szczerą i wierną jak rodzicielska? Jakie rozrywki zostawią w sercu tyle prawdziwego spokoju co dni spędzane cicho, w miłym domowym kółku, w gronie kochającego się rodzeństwa? Ale co do ciebie, czuję to aż nadto, że twoja długa choroba, która i nasze szczęście zatruwa, tobie robi także obecny twój los smutnym.

— Dla tego że mię robi niedołęga, nie mogącym wystarczyć w niczem samemu sobie? — zapytał Georg z uśmiechem. A to najsmutniejsze że nie mogę się obejść bez lektora i bez sekretarza, a ty grozisz że znów gdzieś odchodzisz. Jak tylko czas sianozęcia, albo przy roli robota, to wtenczas już chyba tylko w nocy mógłby mi ktoś przyjść swoim wzrokiem w pomoc, a mam skrupuły psuć zdrowe oczy przy świetle. Nina mój wierny sekretarz także mi krewi. Już tak oddawna czekam naprzód, bo i do napisania mam wiele rzeczy i tyle czasu upływa jak nie nie słucham. A właśnie tak byłem kontent, że mi zaczęliście czytać nowy Testament, bo to mi daje bogaty zasób do rozmyślenia, z laty już wiele z pamięci mi wyszło, a są też rzeczy, które dopiero dzisiaj pojmuję dobrze. Sam się nad sobą zastanawiając, nieraz się dziwię jak w przeciągu lat niewielu ogromnie się zmieniłem, i winienem to z pewnością mojej nieszczęśliwej chorobie, która chociaż mię robi często zrzędnym dla drugich, wszakże nie jedno dobre wyrobiła we mnie także. Dopóki miałem wzrok dobry, kłopotalem się i trapiłem troską o przyszłość, — chociaż te frasunki na nie się nie zdały. Jakże często napady melancholii odbierały mi zdrową rzeźwość młodości, pod wpływem której dojrzewa wszystko co dobre i wielkie. Teraz kiedy daleko mniej mam do stracenia, odrzuciłem nierozsądne troski, i obojętnie w przyszłość poglądam, jakiekolwiek widoki mi ona przedstawia. Twarde czoło niezbędnie potrzebne przeciw twardym życia pociskom.

— Podziwiam i szanuję rezygnację twoją, mój bracie, z tem wszystkim zawsze ci mam za złe, że zaprzestajesz zupełnie myśleć o poprawie twego wzroku.

— Wszakże znoszę ciągle przeróżne plagi, tran rybi, zawłoki na karku, i cóż mi to pomaga?

— Nie o tem mówię, wiem że tysiącrotnie ożywiane nadzieje upadały zawsze. Jednakże czemu się jeszcze nie udasz do doktora Hornera, z takim szacunkiem i ufnością wspominasz? Ażebym cię do tego kroku zachęcić to ci przypomnę, że podróż do niego da ci sposobność odwiedzenia twoich przyjaciół w Zurich, co ci zawsze tak wielką przyjemność sprawia.

— Co się tycze odwiedzenia miłych mi znajomych na to ja umiem sobie radzić. Jak tutaj w ogródku wyszukam sobie ciche, zastłonięte od wiatru miejsce, zasiadam samotnie i marzę, przenoszę się w różne czasy i w różne miejsca także, więc i do przyjaciół zaglądam. Fantazja zwykle dobrze dopisuje. Podróżuję tanim kosztem a szybko, i wracam zazwyczaj bardzo kontent. Co zaś do poradenia się pana Hornera, to ci powiem, że nie obiecuję sobie nic z operacji, więc po cóż próżne zachody?... Ale ci przyrzekam że się jeszcze nad tem zastanowię, a tym-

(1) Mieszkańcy okolic górskich zwykle w letnich miesiącach wypędzają trzody swoje na pastwiska wysoko położone, i w miarę posuwającego się lata, przenoszą coraz wyżej swoje koczowiska ku wierzchołkom gór i wyżyn. Najpierwszy stopień takich dastwisk gdzie już od wiosny obozują i gdzie mają pobudowane letnie chaty, nazywają „*Majensäss*“.

zasem dam ci z méj strony radę. Idź do twoich obórek i chlewów, nakarm twoje bydłęta załatw co najpilniejsze w twojem gospodarstwie, a potem przyjdź tu znowu ale z papierem i piórem. Już od dwóch tygodni mam coś nowo zbudowanego w głowie i noszę się tem, oglądam, poleruję, zdobię, a nie mogę nikogo znaleźć coby mi to z głowy na papier przeniósł.

— Bądź pewnym że się pospieszę, matka mi trochę pomoże to rychléj skończymy, bo mi żal doprawdy ciebie mój Georg, że tylko marzeniami zabawiasz się musisz, kiedy my się radujemy patrzeniem na piękny świat Boży.

Obydwe kobiety powstawszy z ławek gdzie odpoczywały w czasie téj rozmowy poszły ku domowi, a marzący Georg znów pozostał samotnym.

— Żałuję mię że marzę, rzekł sam do siebie, sądzę że dla ślepego ciasny marzeń zakres, że wspomnienia dawne to mały dla nich zasiłek! A przecież to wszystko na co oni patrzą, to ja oczyma méj duszy widzę, zupełnie jak w owych czasach, kiedy już to dla nauki, już dla leczenia w dalszych bawilem stronach i za naszą górą tak niewymownie tęskniłem. Ach, dziś pamiętam jak duch mój na skrzydłach zorzy rumianej, leciał do mojej krainy, i tam pozdrawiał nasz dach rodzinny, tę dolinę ojców naszych, ten Eden moich lat dziecinnych, pozdrawiał szare pagórki, skały i źródła jasny, spoglądał z uwielbieniem na te dzikie olbrzymy, co nad chmurami jakby na tronie zasiadły, szczytem swym tonąc w niebios lazurze ze srebrną na głowie koroną, na to wszystko co wdzięczne i wielkie, straszne i wspaniałe. Jaby to wszystko z po za mórz i oceanów najdokładniej widział. I teraz tak samo duch mój patrzy na wszystko, i tak mi jasne te wielkie obrazy, a może nieraz i więcej, jak tym co niezamglonym wzrokiem ciała wpatrują się w nie co dnia.

Gdy Nina wróciła, niosła z sobą wszystko co do pisania potrzebne, i zasiadła na niskim podnóżku przy ławie w sąsiedztwie brata. Georg marzył głośno, słowa wiązały się w miary i rymy, i na papier Niny wylała się pieśń pochwalna i dziękczynna na cześć Stworzyciela téj wielkiej przyrody co ich otaczała. Wyrazy pieśni świadczyły że niewątpliwie jój twórca z zachwytem wzrok swój poił czarownym, wspaniałym widokiem, a jednak źrenice jego gruba czarna zasłona zapewne na wieki przykryła..... ale on wzrokiem duszy patrzył i widział.

Te trzy postacie są to główne osoby w rodzinie *Camenisch*.

Dziwna to rodzina! dziwna przynajmniej wydawałaby się w każdym innym kraju. Nie tylko odnośnie do otaczających ją w rodzinnej wiosce i całym sąsiedztwie tak odrębnych żywiołów, ale sama w sobie nawet przedstawia szczególne zespolenie wieśniaczęj prostoty w zajęciach i nawykniach, i wyższych potrzeb umysłowych i duchowych, przy dosyć ograniczonym zakresie wiadomości, rozszerzone pole pojęć i uczuć.

d. c. n.

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Wincunia patrzyła długo, ogień osuszył łzy w jej oczach, poniosła dłonie do serca i rzekła cicho:

— Kocham!

— Nieprawda! odpowiedziało sumienie, to co czujesz nie jest miłością, to tylko szal, obłąd, zgubny wir, który cię porwał i w którym utoniesz jeśli nie rzucisz się w moje objęcia. Miłością prawdziwą jest tylko to uczucie głębokie, spokojne, ufne, które masz dla narzeczonego. Ocknij się, zrozumiej głos prawdy i posłuchaj sumienia!

— Posłuchaj nas, szepnęły wspomnienia, my tobie powiemy o jego wielkiej miłości dla ciebie —

o twoim spokoju i szczęściu jakie posiadałaś póki serce twe nie odbiegało od niego!

— Tak, mówiło sumienie, wtedy tylko byłaś prawdziwie szczęśliwą i prawdziwie czystą?

Dziś — spojrz co się z tobą stało! Błada, zmęczona, rozmarzona i znękana słuchasz walki naszych głosów i mocujesz się z sobą boleśnie.

Usłuchaj sumienia a walka wnet się skończy, wróć do niego a znowu spokój wstąpi w twoją duszę!

— O, wróć do niego! powtórzyła dobroć, weź ten biały kwiat, który gdy wpleciesz w twe włosy, wezmiesz rozbrat z dobrocią i sumieniem i przystroj nim oblicze Matki Bożej, które tam z nad łóżka twojego tak smutnie teraz spogląda na ciebie!

— Wspomnij! wspomnij! i ofiaruj różę czystej Marji! wołały wspomnienia.

— A razem z kwiatem tym ofiaruj Bogu uczucie, które tobą miota w tej chwili, gdy się go raz wyrzeczysz zapomnisz o nim i będziesz szczęśliwa.

— Wspomnij, wspomnij! i ofiaruj różę czystej Marji! powtarzał chór mglistych aniołów przeszłości.

I rozstąpiwszy się dobroć i sumienie ukazały Wincuni białą różę pochyloną w wodzie.

Dziewczyna rzuciła się ku róży, a oczy jej utkwiły w obrazie matki Bożej wiszącym nad łóżkiem.

— Wspomnij! wspomnij! i oddaj różę czystej Marji! śpiewał nad nią radośny chór.

Palce Wincuni dotykały już kwiatu, na czole jej jaśniał blask postanowienia, ale nagle namietność pochwyciła wyciągnięte jej ręce i gwałtownie przycisnęła je do serca. I powstało wielkie zamieszanie między walczącymi władzami ducha Wincuni. Marzenia rzuciły się na chóry wspomnień i głużyły ich głosy swymi słowicami śpiewy, namietność porwała za barki sumienie i po długim szamotaniu się rozproszyła je w mgłę bardzo daleką, dobroć walczyła dłużej, ale po chwili wionęła także w ognisty wieniec i zniknęła wśród płomieni. Wtedy marzenia rzuciły na rój wspomnień pęki kwiatów, które niosły w ręku a mgliste anioły otrząsły z nich swoje szaty i płacząc odleciały za znikającym w oddali sumieniem.

Wincunia została sam na sam z namietnością.

Wtedy purpurowa pani ujęła ją w ramiona, zbliżyła twarz swą do jej twarzy i przez usta jej wstępowała do piersi. Wsuwała się w nie jak żmija ślizga i paląca, a coraz głębiej zapuszczając się we wnętrze dziewczyny, szeptała jej słowa pieszczoty i miłości. W końcu Wincunia poczuła jak płomienisty wieniec rozpaloną obręczą ścisnął jej serce, zadrżała i jakby ze snu zbudzona obejrzała się wkoło.

Cicho było i zmrok zapadał. Biała róża Aleksandra stała przed nią i dotykana wieczornym powiewem przenikającym przez okno, poruszała listkami niby błagając młodą dziewczynę, aby ją wplotła w swe włosy.

— Zmrok zapada, szepnęła Wincunia, a jego nie ma jeszcze! Może nie przyjedzie?

Na tę myśl trwoga ją ogarnęła i serce ścisnęło się bólem.

— Może go czem zraziłam do siebie? myślała, może źle tańczyłam? może mu co nie miłego powiedziałam?

Pod gankiem rozległ się turkot kół.

— Przyjechał! zawołała dziewczyna, porwała się z miejsca i ręce przycisnęła do gwałtowną radością bijącego serca.

Ale zarazem spojrzała na różę i myśl przemknęła przez głowę, że to już chwila ostatnia stanowcza... zaraz — natychmiast trzeba kwiat ten wpleść we włosy — albo odrzucić go i powiedzieć: nie!

I było jeszcze kilka sekund ostatniej walki, zakryła oczy dłońmi i nieruchoma — pobladła — drżąc...

Nagle w przyległym pokoju ozwał się głos Aleksandra pytającego sługi, która go spotkała gdzie są jej panie.

Na dźwięk tego świeżego młodzieńczego głosu Wincunia poskoczyła, porwała różę i ręce jej podniosły się ku warkoczom. W mgnieniu oka była już przy drzwiach, otworzyła je i stanęła w progu.

Aleksander stał okilka kroków od niej, orzucił ją spojrzeniem a przed oczami jego śnieżny kwiat błysnął wśród zmroku nad czołem dziewczyny.

— Z różą! zawołał i rzucił się ku niej, więc kochasz mię i będziesz moją! dodał ujmując jej ręce.

— Kocham i będę twoją! szepnęła Wincunia,

a młodzieniec klęczał przed nią i tysiącem pocałunków okrywał jej ręce.

XI.

ROZMYŚLANIA ALEKSANDRA.

Aleksander wrócił z Niemenki upojony, szczęśliwy. Rodzice pomimo wielkiego zmęczenia czekali jego powrotu niecierpliwie i z ciekawością.

— I cóż? spytał p. Jerzy gdy Aleksander ze zdwojoną, jakby gorączkową czułością całował go w rękę.

— Jestem przyjęty papo! odpowiedział młodzieniec z radością i pewną dumą w głosie.

Oboje Snopińscy radośnie klasnęli w ręce.

— A cóż na to ciotka? spytał p. Jerzy.

— Z początku była bardzo zakłopotana, gdy ją pokornie a usilnie zaczął prosić o rękę synowicy, wspomniła o Topolskim, o jakiejś tam dla niego wdzięczności i nawet łzy miała w oczach. Ale Wincunia całowała jej ręce i mówiła: moja ciociu, inaczej być nie może, jam panu Aleksandrowi już przyrzekła! Wtedy ukłękliśmy oboje przed nią i pobłogosławiła.

— To chwala Bogu! zawołał p. Jerzy, gracko spisałeś się chłopcze i choć mi żal trochę Topolskiego, toć jednak pewny jestem, że nie mu się bardzo złego nie stanie. Zanadto jest on rozsądny aby miał desperować po dziewczynie, a zresztą jeśli ona jego nie kocha to i niewielką miałby z niej pociechę, bo małżeństwo bez miłości i torby plew nie warte. Podobają mi się szczerze ta twoja Wincunia, ładne to, dobre widać i potulne dziecko, a przytem posażek panna ma wcale nie zły i musi cię bardzo kochać, kiedy dla ciebie takiemu porządnemu człowiekowi jak Topolski odmówiła. No, niech Pan Bóg błogosławi, niech Pan Bóg sekunduje.

Aleksander klęczał przed rodzicami i ścisnął ich kolana. Pani Snopińska pocałunkami i pieszczotliwymi słowy okrywała jednaka, a p. Jerzy kręcił siwego wąsa milcząc parę minut, potem podniósł syna i rzekł patrząc nań z powagą i przywiązaniem.

— Słuchaj Olesiu! Matka cię całuje w tej ważnej chwili twojego życia i płacze: nie dziwota to, bo u kobiet całe serce pokazuje się zawsze w łzach i pocałunkach. Ja zaś mężczyzna i stary zgrubiały w pracy, niezdatny jestem do niewieściich pieszczot i kwileń, niemniej jednak kocham cię także. Bóg widzi że kochałem cię może zanadto gdyś był dzieckiem, a przez to i pobłdziłem w wychowaniu twojem. Ale co się stało nie odstanie i daremnie by teraz było rozwodzić przed tobą żale nad przeszłością. Niechże miłość moja dziś przynajmniej okaże się tobie w słowach ojcowskiej przestrogi i nauki.... Otak! nieznacznie łzę, która cisnęła się mu do oka i mówił dalej:

— Żenisz się i dobrze robisz, chciałem tego bo sam ożeniłem się bardzo młodo z kobietą, którą szczerze miłowałem i do dziś dnia jeszcze miłuję mimo lat podeszłych. Wiem co to jest familja, jakie pocziwe uczucia, wkłada ona do serca i jak wypędza z głowy niestępek i głupie nałogi. Ty, mój chłopcze, masz dobre serce, spryt niepomierny, pojęcie jakim nie każdego Pan Bóg obdarzył, ręce zdatne do wszystkiego do czego się szczerze wezmą. To są twoje zalety, których ci nikt odmówić nie może. Ale zarazem jesteś wietrzny, bałamut, nie lubisz pracy a lubisz hulanki, masz pańskie fuchy i zachcianki, które biednego szlachcica do torby i kija żebraczego prowadzą. Otóż dopóki byłeś przy nas, wolny, sam jeden było to złe ale mniejsze, teraz gdy się ożenisz, będzie to złe kapitalne jeśli uchowaj Boże nie przełamiesz go w sobie. Bo uważasz, moje dziecko, ojciec familji to nie puste słowo. owszem przedstawia ono pełno obowiązków, wyrzeczeń się, prac które człowiek obnosić musi wtedy, gdy już nietylko sam o własnych siłach żyje na świecie, ale gdy i inni o jego siłach żyją. Jeżeli pojdziesz i spełnisz te obowiązki, będziesz miał wielkie uciechy, ani słowa. Ale uciechy te nie będą takimi jak te które dotąd lubieś. Nie znajdziesz ich i nie powinieś ich szukać ani na sali u Szłomy, ani w domu téj wietrznej pani Karlicz, ani w umiżaniu się do panien i wiejskich dziewcząt. Uciechy te jeżeli na nie zasłużysz znajdziesz przy boku dobrej i ładnej żony, którą sam sobie wybrałeś bez żadnego przymusu, na widok dzieci które ci pewnie Pan Bóg obdarzy, w gospodarstwie z którego ty

i familja twoja chleb będziecie jedli, a nade wszystko w spokojności i zadowoleniu własnego sumienia, które mówić ci będzie że żyjesz jak uczciwemu człowiekowi żyć przystoi. Takie tylko uciechy ja miałem w życiu mojem mój chłopcze. W billard ani w karty nie grałem, zbytecznego użycia trunków i hulanki wszelkich strzegłem się jak ognia, odkąd po brałem się z Anulką do żadnej innej kobiety konkurów nie stroiłem. To też przeżyłem życie uczciwie, nie bez trudności, nie bez kłopotów, nie bez potu czoła, o tem wszystkiem jeden Bóg tylko wie, ale także i nie bez dni szczęśliwych i wesołych a bez grzechu krzywdy ludzkiej i zgryzoty sumienia. Tak i ty zrób Olesiu; porzuć pańskie fany i gusta, które dla niebogatego szlachcica, weale są niepotrzebne, porzuć hulanki z młodzieżą pustą, bałamuctwa a zajmij się szczerze pracą, gospodarstwem, kochaj żonę całym sercem, siedź więcej w domu jak za domem i staraj się aby na twoje sumienie nie upadła żadna łza kobiety, która przez miłość dla ciebie wyrzekła się człowieka ze wszelkich miar zachęty i tak mało cię znając powierzyła ci przyszłość. Oto, moje dziecko, ojcowska przestroga, którą ci daję wstęp do nowego życia. Powiedziałem ja nie po salomowemu, nie uczenie, po prostu ale serdecznie. Przyjm ją od ojca razem z błogosławieństwem, które niech zawsze w złej i dobrej doli ci towarzyszy.

Ezy zatamowały głos starego dzierzawcy, Aleksander rozrzucony znowu rzucił się do nóg jego.

— A teraz, rzekł po chwili p. Jerzy, muszę ci też powiedzieć Olesiu jaki fundusz możesz spodziewać się otrzymać odemnie. Ludzie okrzyknęli mnie za bogacza i ty może podzielasz ich zdanie. Otóż mylicie się wszyscy. Bogactwo dzierzawcy zwykłe jest tak małe jak życie jego trudne i praca ciężka.

Trzymam w dzierzawie majątek spory, opłaciłem hrabinie za niego za dwa lata z góry, mam porządne inwentarze to wszyscy widząc krzyczą: kapitalista! Tymczasem moje dziecko całego majątku posiadam 10,000 rubli i to z mozolną zebranych pracą. Mógłbym wprawdzie zebrać więcej ale z krzywdą ludzką i złą sławą u ludzi, nie chciałem tego i posiadam tylko tyle ile sumiennie zarobiłem. Otóż gdy ożenisz się odkupię dla ciebie od pani Niemeńskiej połowę Niemenki, która do niej należy, dodam ci jeszcze 1,000 rs. gotówką na nowe gospodarstwo i to już będzie większa połowa całego mego funduszu. Resztę zostawię u siebie aby nam z Anulką starczyło do końca życia, może coś jeszcze dorobię w obrotach, a co zostanie po naszej śmierci rozumie się ty weźmiesz także boś nasz jedynak. Tymczasem licząc z posagiem żony będziesz miał weale niezły majątek. Niemenka to ładny folwark choć nie wielki, i tak wybornie zagospodarowany, że stosownie do rozległości dochód daje bajeczny prawie. Gdy więc będziesz miał statek, będziesz miał i dostatek i o to jestem spokojny.

Umilkł p. Jerzy a na twarzy Aleksandra malował się zawód i zdziwienie. Wyrażnem było że cyfry, które wyszły z ust ojca strąciły go z obłoków, sądził dotąd że rodzice posiadają przynajmniej trzy razy większy kapitał. Tak był jednak przejęty różnemi wrażeniami dnia tego, że na razie nie zatrzymał się długo na przykrych myślach, które w nim powstały i w milczeniu ucałował rękę ojca.

— O dalszych szczegółach twojej żeniaczki pomówimy potem, rzekł p. Jerzy, a teraz idźmy spać, bo okrutnie zmęczony jestem wczorajszemi hecami i czekając na ciebie z Anulką drzemaliśmy już po trochu.

W kilka minut po tej rozmowie Aleksander był już sam jeden w swoim pokoju.

Jak bywa ze spienionemi potokami wody spadającą z pod młyńskiego koła, tak było z jego myślami. Jak w tej wodzie lecąc z pędem i hukiem są perły czystych kropeł, piany mętne, kamyczki błyszczące, bryzgi błota, przegładające się w falach lilije wodne i szare płazy, podnoszące się z dna ruchomego, tak w myślach młodzieńca pienilo się, burzyło, kwieciło, błyskało, szumiało, a z ruchomego dna serca bryzgał muł brunatny i powstawały mętne poczwarki utworzone ze złych naleciałości życia.

Z takiego zamętu przypłynął do ust jego wyraz: żenie się!

Wyrzekł to głośno i stanął przełknięty.

Dziwna rzecz! tak długo o tem myślał, tak się o gorączkowo starał, a teraz zdjął go obawa.

W tej chwili odległe jakieś wspomnienie przynio-

sto mu do ucha echo komicznej, chórem śpiewanej przez jego towarzyszy zabaw piosenki: „Wilczyśko się ożeniło, uszy opuściło!”

Jał rozmyślać nad treścią tej piosenki.

Dla czego ożeniwszy się wilczyśko opuszcza uszy, no, a człowiek naturalnie nos na kwintę spuszcza, bo organizm jego uszu nieskłonny jest do tej manipulacji?

Dla tego zapewne, myślał Aleksander, że poki jest nie żonatym robi sobie co chce, bawi się jak chce, kocha się i bałamuci z kim chce, a gdy ożeni się klamka zapada i zamiast: „tak chce” musi mówić sobie: „tak powinieniem” zamiast własnej i nieprzymuszonej woli ma obowiązki.

Obowiązki? ależ to niewola, przymus, wyrzeczenie się wielu przyjemnych rzeczy!

Obowiązki? gwałtu!

Porwał się z krzesła, schwycił się obu rękami za głowę i zaczął biegać po pokoju.

Ale gdy tak biegał, pomyślał sobie znowu.

Ba! ale nie żeniąc się jakże mieć Wincunię? a ona tak śliczna, cudna! jakie oczy, jakie włosy, jaka dobra, a jak mnie kocha! A i ja ją kocham dalibóg kocham szalenie!... Ech! czemu to ona nie jest lepij jaką wiejską dziewczyną, moglibyśmy się kochać a ja bym został sobie dla tego *liber baron* jak mówi pani Karlicz! ale z nią... gdzie tam! trzeba żenić się i basta! a przytem wziąłby ją ten Topolski co nawet tańczyć nie umie! Cha, cha, cha! nie umie tańczyć w dziewiętnastym wieku! szkoda by jej było, uratuję ją od niego! A jak to będzie dobrze gdy się ożenię! Będziemy sobie mieszkali w Niemence, postawię tam piękny nowy dom, bo naturalnie w takim małym żyć nie sposób, no i do gospodarstwa się wezmę.

Powiadają że Topolski cudu jakieś zrobił z tej Niemenki, jeżeli on potrafił zrobić jedno cudu to ja zrobię dwa i będę sobie bogaty...

Bogaty? o!

Stał i zaczął kręcić wąsik.

Ojciec daje tylko kilka tysięcy! Nie spodziewałem się tego, myślałem że ma daleko większy kapitał. Gdybym był wiedział że posiada tak niewielki fundusz, byłbym pomyślał o bogatym ożenieniu się a moglibym, moglibym bogato ożenić się! Już i Józia Siankowska trzy razy większy ma posag od Wincuni, tylko że strasznie czerwona i ma wielkie ręce! A pani Karlicz? i ta poszłaby za mnie choć z dziesięć lat starsza odemnie. Wprawdzie to już za bogata dla mnie pani, ale czego to na świecie nie bywa! Przytem ma ona do mnie taką słabość że gdybym tylko... Ależ trzydzieści lat, fil nie, jednak dobrze to że się ożenię z Wincunią, siedemnaście latek, serduszeko takie świeżutkie jak i twarzązka! taka śliczna buziulka! ach, serce ty moje! aniołku!

Uśmiechnął się i machinalnie wyciągnął ramiona jak gdyby widział przed sobą Wincunię. I piękne wtedy blaski przechodziły po jego ruchomej twarzy, w oczach zajaśniała poezja młodzieńcza, zamglili się rzewność...

Kocham ją, mówił do siebie, i będę zawsze kochał za jej miłość dla mnie. O, bo i ona mnie kocha, o, kocha! Jak jej dziś pięknie było z tą białą różą w warkocz! Boże mój! jakże się obawiałem zobaczyć ją bez tego kwiatu! o jak mnie żegnała, jakie rączki miała gorące, i jak jej oczki błysnęły gdy mówiła mi: do jutra! o droga moja! śliczna!

Upadł na krzesło i zatonał w marzeniach: wszystko co w duszy jego było pierwotnie pięknem i dobrem i co zbrukane zostało naleciałościami życia jakie prowadził, wypływało mu na twarz oczyszczone i opromieniało czoło nimbusem młodzieńczych uczuć.

Nagle zerwał się i zawołał prawie głośno. Ależ moja złota swoboda! stracę ją! aj, aj, aj! I zaczął znowu biegać po pokoju.

Piękna rzecz, myślał, siedzieć ciągle w domu jak ojciec mówił, wyrzec się wszystkiego co wesołe, co robi przyjemność! Gdybym przynajmniej był starszy! Ale w tym miesiącu zacząłem dopiero dwudziesty drugi rok! Tak młodo stracić moją miłą, złotą swobodę! straszne rzeczy! oto wlałem! Jak będę żonaty, żadna panna już i patrzeć na mnie nie będzie! Czemuż nie jestem przynajmniej o jakie ośm lat starszy, nie tak bym tego żałował? Żeby to można było dodać sobie wieku! jakby to było dobre! Ożeniłbym się z Wincunią i nie żałowałbym już swobody. Ech, ta nieznośna młodość!

Ziowu odległe echo przyniosło mu do ucha piosenkę o ożenionym wilku i opuszczonych uszach.

Zmarkotniał bardzo.

Et, rzekł po długim myśleniu, daremnie tylko gryzę się! nie taki diabeł straszny jak go malują i żonaty człowiek nie taki niewolnik jak to niektórzy powiadają. Alboż mało znam żonatych ludzi, którzy prowadzą życie rychełtyg takie jak gdyby kawalerami byli! Przeciwnie, teraz dopiero wyjdę na zupełną swobodę, bo będę miał swój dom, swój majątek, swoje stanowisko w towarzystwie. Do tego czasu musiałem o wszystko pytać się i prosić ojca, a choć naprawdę rzadko mi odmawiał ale za to gderał, gderał ile wlażyło. Prawda że robił to z dobrego serca, wiem o tem, poczeiw ojciec! Ale zawsze to była zależność, a jak ożenię się będę już zupełnym panem mego domu, majątku i postępowania. Wincunia to aniołek! ona nie będzie taka jak niektóre żony bywają, co to dokuczają mężowi kaprysami i gderaniem. Gdzie tam! to sama dobroć i łagodność! Et wszystko dobrze będzie! Wincunia będzie moją. Topolski weźmie harbuza, będę miał własny dom i majątek a dla tego swobody mój nie stracę! No, już też trochę jej stracę... ma się rozumieć... ale nie zupełnie....

Zaczął nucić piosenkę w której powtarzało się często imię Wincuni i spać się położył.

Ostatni obraz który ujrzał przed zamknięciem oczów, było dziewczę w różowej sukni, śród zmroku stojące w progu drzwi i z rękami złożonemi w jego dłoniach mówiąca po cichu.

— Kocham i będę twoją!

Wpatrując się w to uroczne widziadło usnął z rozkosznym na ustach uśmiechem.

XII.

ODRZUCONY.

O dość wczesnej przedpołudniowej godzinie, Wincunia stała w swoim pokoju przy tem samym otwartym oknie, przy którym wczoraj długo rozmyślała i walczyła. W twarzy jej i postawie malowało się silne postanowienie, milczała i wzrokiem prowadziła za ciotką, która żywo i nierównym krokiem chodziła po pokoju. Okulary pani Niemeńskiej podniesione były na czoło, w rękę trzymała rozpostartą chustkę do nosa, którą machała gestykując. Suknia jej była źle zapięta, czepek ułożony na bok, cała słowem osoba przedstawiała niezmierny niepokój i zakłopotanie.

— O matko Boska Ostrobramska! wołała nie przestając chodzić, co ja jemu powiem? Jak ja jemu to powiem? Oto nawarzyłaś piwa Wincuniu! Kto to mógł tego spodziewać się? Tyle lat znajomości, przyjaźni i jak tu teraz tego człowieka raptem obuchem uderzyć w głowę? Słuchaj Wincuniu, zawołała stojąc nagle przed synowicą, a może ty się jeszcze rozmyślisz? Co?

Wincunia z wolna poruszyła głowę i odpowiedziała stanowczo:

— Nie moja ciociu, gdybym się mogła rozmyśleć stałoby się to wczoraj.

— A więc sama mu powiedz wszystko jak przyjdzie, zawołała pani Niemeńska, machając chustką; wyjdź do niego i powiedz: nie pójdę za pana bo kocham innego! ot i będzie koniec.

— Nie, ja jemu tego nigdy sama nie powiem, nie mogę, nie mam siły! zawołała Wincunia składając ręce.

— Widzisz, a chcesz żebym ja mówiła. I mnie także trudno! Zdawało się że będzie łatwo tak sobie powiedzieć jemu: bądź zdrow! i po wszystkim! Ale gdy już ten moment nadchodzi, to i sama nie wiem co robić, od czego zacząć, w jaki sposób powiedzieć. O Chryste Ukrzyżowany ratuj mię! ja chyba zwaruję!

Chodziła po pokoju w wielkim poruszeniu, nagle stanęła przed synowicą i znowu spytała:

— A może ty się jeszcze rozmyślisz, koteczko?

Cierpienie odmalowało się na twarzy Wincuni.

— Ciociu najdroższa! zawołała, nie zadawaj mi więcej tego pytania, bo mi od niego serce boli! Ty ciociu niewiesz ile cierpiam, ile walczyłam, czyż sądzisz że nie cenię Bolesława wysoko? Że nie czuję iż źle czynię zawodząc go i sprawiając mu boleść? Ależ, mój Boże, nie mogę inaczej.... nie mogę.....

Łzy głos jej zatamowały, p. Niemeńska podeszła do swej pieszczoszki i głaszcząc jej policzki rzekła:

— Wiem, wiem koteczko że i tobie musi to być bardzo przykro i sama także poczuwam się do winy, że dopomogłam do urządzenia tego bigosu. Ślepoto! ślepoto! trzebaż mi było zapraszać Snopińskiego do Niemenki! Ale czyż mogłam się spodziewać? Byłam pewna że kochasz Topolskiego i przypuściłabym, że w nocy słońce zaświeci jak że ty z nim kiedykolwiek rozstać się zechcesz. Co bo też to za człowiek ten Topolski! Drugiego takiego z latarnią na świecie poszukać. Znam ja jego znam, to brylantowe serce!

Zamysliła się smutnie staruszka i nieznacznie łzę otarła.

— Ha, rzekła po chwili, poprawiając okulary, może dla tego aby przed synowicą ukryć łzy które gwałtem cisnęły się do oczu, ha, cóż robić? stało się! młode twoje serce pociągnęło cię do młodszego i nie dziwota! Snopiński to chłopak co się zowie, grzeczny, ładny, salonowy a zdaje się że przytem i pocziwa dusza. Iz nim pewno będziesz szczęśliwa, — ja zaś przeciwko niemu nie niemam, ani słowa, tylko mi pocziwego Bolesława szkoda. Jak ja mu to powiem, mój Boże jak ja mu to powiem?... I znowu chodziła po pokoju w wielkim zakłopotaniu i zgryzocie.

Nagle Wincunia odskoczyła od okna na środek pokoju i zakryła oczy rękami.

— Jezus, Marja, a toż co? zawołała z przestrawieniem p. Niemeńska. Wincunia cała drżąc pochwyciła ciotkę za rękę i szepnęła:

— Bolesław idzie! jakby zobaczył mię w oknie zaczęłby ze mną rozmawiać. Idź, już idź moja ciotuleczko.

W istocie Bolesław wszedł na dziedziniec od strony pola: znać wracał już od gospodarstwa. Dwóch chłopaków kręciło się koło studni.

— Héj Adasiu, zawołał na jednego z nich Bolesław, załóż konia do wozu i zawiąż beczkę wody żniwiarzom, bo będzie w dzień siarczysty upał.

Skierował się ku gankowi, mimochodem rzucił spojrzenie na okno Wincuni i przyspieszył kroku.

Pani Niemeńska za głowę się schwyliła.

— Jezus Marja, co ja nieszczęśliwa pocznę? Jak ja jemu to powiem? powtarzała.

Kroki Bolesława dały się słyszeć w przyległym pokoju.

— Pod twoją obronę uciekam się... zaszeptala p. Niemeńska stojąc u drzwi, w imię Ojca, i Syna i Ducha św. dokończyła żegnając się i z wyrazem Amen na ustach pocisnęła klamkę, wyszła i prędko drzwi za sobą zamknęła. Wincunia została na środku pokoju niema, skamieniała z opuszczonymi rękami i z cierpieniem na twarzy. Parę razy podnosiła wzrok na święty obraz wiszący nad łóżkiem, ale dziwna rzecz — powieki jej wnet opuszczały się przyciskane ciężarem wstydu i żalu.

— Dzień dobry pani, ozwał się do gospodyni domu pogodny i serdeczny głos Bolesława, oglądałem gospodarstwo w Niemencie i zaszedłem do pań: takiem się już za paniami ztęskniłem... Nagle urwał i zawołał:

— Co to pani? czyś pani nie chora?

Zwiedle policzki p. Niemeńskiej zabarwiły się rumieńcem gorączkowej niespokojności, oczy jej pełne łez z za okularów wpatrywały się w twarz Bolesława.

— Co to jest? pytał Topolski z wzrastającym niepokojem, gdzie Wincunia? może to ona chora? Bładość przemknęła mu po czole.

— Nie to, nie, kochany p. Bolesławie, rzekła p. Niemeńska niepewnym głosem, Wincunia nie jest chora, ale źle z nią jest, bardzo źle!

— A! krzyknął Bolesław, cóż się z nią dzieje? gdzie ona? niechże ją zobaczę!

I zrobił krok ku drzwiom Wincuni, ale p. Niemeńska zastąpiła mu drogę.

— Nie idź tam, nie idź, kochany p. Bolesławie, zawołała, oto pójźmy lepiej do ogrodu tam ci wszystko powiem!

Straszne jakieś myśli przesunęły się zapewne po głowie Bolesława, bo twarz jego nabrała posępnego wyrazu.

— Czemuż mi pani tu, zaraz mówić nie chcesz? spytał stłumionym głosem — ale p. Niemeńska żywo postąpiła ku drzwiom od ogrodu, Bolesław poszedł za nią.

Przeszli połowę alei milcząc, p. Niemeńska miała w ręku chustkę od nosa.

— Cóż się stało Wincuni? ozwał się nareszcie Bolesław, a w głosie jego były tortury zniepokojonego serca.

— Kochany panie Bolesławie, zaczęła pani Niemeńska patrząc w ziemię, sama niewiem doprawdy jak mam ci powiedzieć o tem co się stało. Nie gniewaj się na nas... nie bierz nam tego za złe... my wiemy i pamiętamy ile dla nas uczyniłeś... my szanujemy cię, kochamy ale widzisz, kłóż mógł przewidzieć?.. Wincunia taka młoda a to taki ładny i miły chłopiec.....

Straciła wątek i nie wiedziała już co mówić dalej.

Bolesław stanął nagle i oparł się plecami o drzewo.

— Na miłość Boga, mów pani wyraźniej! rzekł z cicha.

— Ha! zawołała p. Niemeńska zdobywając się na energję, w imię Ojca i Syna i Ducha Śgo Amen niech się dzieje wola Boża, to już i trzeba raz wszystko powiedzieć! Wincunia pokochała się w młodym Snopińskim i wczoraj przyrzekła mu, że za niego pójdzie!

Krótki, głęboki jęk ozwał się w piersi Bolesława jakby mu tam coś nagle pękło. Podniósł strasznie bladą twarz i nieprzytomnymi oczami wpatrzył się w p. Niemeńską.

— Co pani mówi? zapytał, zdaje mi się że źle usłyszałem!

Pani Niemeńska zlekła się bledości jego i spojrzenia i pochwyciła go za obie ręce.

— Mój dobry, mój złoty, mój kochany p. Bolesławie mówiła, a łzy biegły z jej oczów po rozpalonych policzkach, nie martw się, nie desperuj, znajdziesz sobie inną! Wincunia widać za młoda dla ciebie i serce pociągnęło ją do młodszego. Bóg widzi jakie mi to sprawia zmartwienie, a i ona biedaczka cierpi nad tem bardzo bo kocha cię jak brata, jak przyjaciela, ale w tamtym rozkochała się i powiada że żyć bez niego nie może, cóż robić? Serce nie służy! pójdź kochany p. Bolesławie do altany pogadamy o wszystkim!

Bolesław słuchał z pochyloną na piersi głową z oczami szklanymi utkwionymi w ziemię. Wyglądał na człowieka, który zupełnie nie rozumie co się z nim dzieje i nie może odszukać wątku myśli. Automatycznie poszedł za p. Niemeńską do altany i usiadł oboje na ławce.

Ciotka Wincuni po przełamaniu pierwszych lodów ośmieliła się i nabrała wymowy. Opowiedziała Bolesławowi cały przebieg znajomości Wincuni z Aleksandrem, jak ona nie wiedziała wcale o tem że dziewczyna była już nim zajęta, jak Wincunia nikomu się nie zwierzała bo walczyła z sobą, jak właśnie z tego powodu mizerniała, blada i t. d. Skończyła na opowiedzeniu o wczorajszym wieczorze, jak młody Snopiński przyjechał, oświadczył się, Wincunia mu przyrzekła, a ona nie mogła sprzeciwić się widząc wzajemną miłość, dwojga młodych ludzi, tembardziej że Wincunia ma swoją wolę, i swój fundusz, a ona nie jest jej matką, ale tylko ciotką, która wprawdzie kocha ją jak matką, ale władzy rodzicielskiej nad nią nie posiada.

Bolesław nie przerywał jej ani jednym słowem: ręce skrzyżował na piersi, oczy utkwiał w ziemię a z twarzy jego nie ustępowała wielka bladość.

Gdy pani Niemeńska umilkła zaczął mówić zniżonym i trochę przerywanym głosem nie odrywając wzroku od ziemi:

— Wiadomość którą otrzymuję od pani w tej chwili, nie znajduje mię całkiem nieprzygotowanego. Miałem przecucie... ale brałem je za urojenie... związek mój z Wincunią zdawał się tak ścisły... tak pewny....

— Cóż jest pewnego na tym świecie, kochany panie! przerwała z westchnieniem p. Niemeńska.

— Cóż jest pewnego na świecie? powtórzył z wolna Bolesław, ja przecież myślałem że to było pewne, jeżeli jednak Wincunia mię nie kocha... jeżeli to potrzebne do jej szczęścia...

Zatrzymał się jakby mu tchu zabrakło.

— Ustępuję z drogi jej życia! dokończył powstając z ławki, zdwojona bladość twarz mu pokryła i znowu plecami oparł się o drzewo.

Pani Niemeńska powstała także i sama już nie wiedziała co ma mówić. Bolesław ozwał się pierwszy.

— Chciałbym tylko jako dawny przyjaciel zapytać panią, czy w istocie znajdujesz wybór p. Wincenty trafny? Czy związek z p. Snopińskim zapewni jej przyszłość szczęśliwą?... Jeżeli nie kocha mię... może nie zostać moją żoną, ale dla czegoż ma wychodzić za człowieka, który.....

Zatrzymał się i po chwili milczenia dokończył.

— W istocie, pani mię posadzić możesz o chęć obmawiania człowieka, który odebrał mi serce Wincuni... ale... wierz mi pani że w tej chwili mniej czuję stratę osobistych moich nadziei, jak trwogę o jej przyszłość...

— O, bądź pan pewny że i ja także... zaczęła p. Niemeńska.

— Że i pani także dbasz o przyszłość panny Wincenty przerwał Bolesław, a ponieważ potwierdziłaś wybór musisz w nim widzieć jej szczęście... Ja doprawdy, miałbym wiele do powiedzenia o tem, ale w tej chwili niemam siły... chciałbym widzieć Wincunię i pożegnać się z nią...

— Pójdę powiem jej o tem, rzekła p. Niemeńska i śpiesznie poszła ku domowi.

(d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

przez K. Gr.

Treść. Podarunek dla cesarzowej Eugenji — kobieta ładna i uczucie piękna — przepyszne suknie krociowej wartości — wytworność gustu francuskiego — chęć pierwszeństwa — wyścigi łodzi na Tamizie — znaczenie żądzy pierwszeństwa — wpływ nauki na teorię wychowania dzieci.

Pomiędzy elegantkami paryżkami, rozmarzonymi w słodkim zachwycie rozkosznego próżnowania, zjawiskiem wstrząsającym wszystkie ich nerwy, stała się wiadomość otrzymana z Lyonu o podarunku izby handlowej dla cesarzowej Eugenji, składającym się z przepysznych dwunastu sukien oszacowanych na przeszło 200,000 franków. Pieniądz fraszka, panie tutejsze z dworskimi i pańskimi eswojone zebraniami, mają go zawsze dosyć na swe zawołanie. Dość sięgnąć ręką a luidory sypią się jak z rękawa, ale powabność stroju, wdzięk jakim darzy, jego przybory, gust, elegancja, rzeczy to większej wartości, często za suty nawet pieniądź nabyć się nie dają. Kobieta ładna, miła, w naturalnym powabie podniesiona przez ubiór harmonijnie dobrany, komuż się niepodobna, kogoż nie zachwycą? Pragnąc być taką czyż to rzecz zdrotna?

Wszakżeż my przy zawiązaniu krawatki, czesaniu czuba kto go posiada, lub zakręcaniu wąsa, nie lubimy zająrzeć do zwierciadła? Każda zmarszczka w ubraniu, już nas gniewa i niecierpliwi, z krawcem toczymy rozprawy, narady a moda i nas wodzi za nos zmuszając pod karą wyśmiania do uległości i posłuszeństwa. Wreszcie uczucie piękna ta własność czysto ludzka, nie znajdująca się w żadnym tworze żyjącym, nawet w orangutanie, według nowej teorii tak blisko z nami spokrewnionym.. przenikając całą naszą istotę, musi się na zewnątrz manifestować we wszystkim co ją dotyczy.

W kobietach jednak uczucie piękna daleko silniej jest rozwinięte, i dla tego słusznie pięć piękną nazwane zostały. My przystajamy się dla kobiet, kobiety dla siebie: my dopełniamy się jakby z musu, kobiety z zamięłowania: my radzi przedewszystkiem wygodnemu ubraniu, kobiety ładnemu i zdobiącemu. Nie więc dziwnego, że dar izby handlowej Lyonu zaciekał wszystkie Paryżanki i obudził niepomowaną chętkę ujrzenia go jak najprędzej.

Życzenia wreszcie spełnione zostały; paki przywieziono, odbito, i z pod owinięć skropionych pysznemi wonnościami, wydobyto te kosztowne cacka, piękne i bardzo gustowne.

Każda z nich miała inne przeznaczenie. Na ceremonjalne wystąpienia najbogatsza, z materji białej jedwabnej zahaftowana jest sześćdziesięciu rozmaitemi buketami, które przy ruchach ubranęj w nią osoby, naśladować mają poruszenia naturalnych kwiatów, zakłócanych w swym spokoju łagodnym powiewem wiatru. Żywość barw ma być w nich nieopisaną piękności. Zdaje się że haft dopełniony sposobem gobelinowym, z malaturą w pewnym oddaleniu nie przedstawiającym prawie żadnej różnicy.

Suknia najwięcej podobająca się cesarzowej, wyrobiona została z białego Gros de Tours, z białym także deseniem ale barwą od tła wyróżniającym się. Za najpiękniejszą jednak uznały dworskie damy suknię z adamaszku wiśniowego zasianego różami białymi i od tła ciemniejszymi.

Na wizyty suknię odrobiono z sukna szarego zwanego Drap suprême i przystrojono także materja szarą. Inne były materjalne szafirowe, zielone, aksamitne w kolorach jasnych, a nawet jedna z muslinu jedwabnego.

Przebacząc łaskawe czytelniczki że wam wszystkich nie opisuję szczegółowo, ale nie moja to broń. Obejmując całość, umiemy ocenić doznane wrażenie, w szczegółach jestem profanem. Piękne są wszystkie a nawet przesłizne, i co ważniejsza łączące prostotę z bogactwem. Nic w nich nie ma zanadto, ale i nic nie brakuje, a choć bogate i kosztowne, nie razi przepychem, nie olśniewają ozdobami. Gust dobry, wytworny jakby wyszlachetniony głównym jest ich przymiotem: do uwydatnienia go wszystkiego użyto, ale brano do tego materjały ani zbyt szczerą ani za skąpą ręką. Pod tym względem Francuzi przodują wszystkim, wytworność ich gustu znana powszechnie, posiada go zarówno najpierwszy fabrykant, artysta jak subretka i przekupień starych rupieci wydobytych ze śmietnika.

Drugą także cechą charakterystyczną Francuzów, jest chęć pierwszeństwa we wszystkim, co chlubi lub zaszczyt przynosi. Być drugimi w czemkolwiek już ich gniewa i niecierpliwi, i pragną zawsze jeżeli drugich nie przewyższyć to im zrównać. Świeży tego przykład mieliśmy niedawno.

W połowie Sierpnia na Tamizie odbyły się wyścigi łodziami, pomiędzy czterema studentami uniwersytetu Oxfordzkiego i tyluż Amerykanami. Spółzawodnictwo obu tych społeczności, zapowiedziane zapasy podniosła do znaczenia politycznego: mówiono o nich wszędzie, zawierano naprzód zakłady i przygotowywano się jak niegdyś Rzymianie w walce z Albańczykami. Obie strony przez kwartał blisko, odbywały codziennie tresunek, Amerykanie gimnastykowali się, pracowali wiosłem, Anglicy tylko ścigali się pieszo, uważając gonitwy za najlepszy środek do wzmocnienia siły fizycznej. Amerykanie głównie żyli mlekiem, mało używali mięsa, wina, piwa i dżynu nie dotykali, tylko pożykali wiele wody z lodem: Anglicy przeciwnie zjadali smaczne poledwice oczyszczone z tłuszczu, mnóstwo jaj, jarzyny bardzo mało, a piwa po naparstku. Oprócz tego przyszli zapasnicy obowiązani byli o dziewiątej być w domu, o dziesiątej w łóżku ze zgaszonym światłem i unikać wszelkich rozrywek zbytecznych wzbudzających a więc i wyczerpujących, jak gra w karty, tańce, namiętne rozprawy i. t. p. Było to więc czyste życie fizyczne, a raczej roślinne, któremu jednak chętnie poddano się, nie lekceważąc ani zapowiedzianych zapasów ani przygotowań.

W dniu oznaczonym ludność kilkakrotnie stu tysięcy na a może i więcej, zaległa brzegi Tamizy już od godziny pierwszej, choć żar piekła jak w hucie szklanej i wyścigi miały się zacząć dopiero o godzinie piątej wieczorem. O naznaczonym czasie pokazały się nareszcie dwie łodzie wystrojone w kwiaty, wieńce i wstążki a gdy przyszli szermierze weszli do nich, sygnęły się oklaski i powstała wrzawa, jakby chciano podwoić siły angielskiej młodzieży, aby oceanowym przybyszom nie dała się pokonać. Naturalnie że życzenie powodzenia przeważnie ku czterem młodym Anglikom było skierowane, zwłaszcza że widziano iż co do wagi Amerykanie znacznie są od nich lżejszymi, ale miano nadzieję że w sile i wytrwałości Anglia przewyższy Amerykę.

Za danym znakiem, rozpoczął się wyścig, i cisza tak wielka powstała między zebranym tłumem, że słyhać było szum wody i plusk wiosła prujących ciemne nurty Tamizy. Wszystkie oczy skierowano ku rzeskim wiosłarzom, zatamowano oddech, wzięto w kluby nosy żeby nie kichały, gardła żeby nie kaszlały i każdy stał w miejscu jak wryty, nie śmiejąc nawet poruszeniem choćby najlżejszym stać się przeszkodą w ogólnym wszystkich zajęciu. Przestrzeń na przepływ przeznaczona wynosiła cztery mile angielskie, była więc dość znaczna. Z początku Amerykanie zdawali się brać pierwszeństwo, łódź ich ciągle wyprzedzała angielską, tłum westchnął jak lokomotywa wyrzucająca parę, zaczął się skupiać, podnosić ręce niby w chęci niesienia pomocy przedstawicielom przyszłej swej sławy. Od połowy mety łodzie zrównały się, ale angielska nie mogła prześcignąć

amerykańskiej, na czwartej dopiero mili, Anglicy zaczęli brać górę i ciągle w nią się utrzymując, na długość przeszło dwóch łodzi pierwsi przybyli do mety. Jaka radość, jaka wrzawa powstała w tłumach, jakie wzniosły się oklaski i okrzyki niepodobna tego opisać. Każdy się cieszył, uśmiechał, każdy zadzierał dumnie głowę, na wszystkich twarzach, we wszystkich oczach błyszczało zadowolenie, jakby każdego spotkało osobiste szczęście, jakby skronie każdego ozdobione zostało wawrzynem niespożytej sławy.

Przytomni Francuzi których na wyścig ten nie mała zebrała się garstka, pozazdrościli tego szczęścia zakałanym swym sąsiadom. Pokonać Anglików i tem samem jeszcze wyżej stanąć nad Amerykanami, ogólnem stało się wszystkich pragnieniem. Ta żądza pierwszeństwa nawet w najprostszym żeglarskim rzemiośle, nie jest drobnostką jakby niejeden sądził. Wyrażając współzawodnictwo głównym staje się motorem postępu, podnosi umysł, szerzy oświatę, rozwija sztuki piękne, przemysł, handel i daje potęgę, bogactwo i znaczenie. Biada społeczności co nie czuje w sobie palącej chęci pierwszeństwa, co poprzestając na podrzędnej roli wlece się za drugimi zbierając okrucy z łaski jej porzucone. Duch ludzki aby panował światu, wymaga wyteżenia wszystkich sił zarówno moralnych jak fizycznych. Ociąganie, wahanie, samowolne spychanie się w tylną szeregi idącej ciągle naprzód ludzkości, to pożywna niezmiennie karma dla lenistwa i zastygnięcia. Nic nie budując, w nic nie wlewając życia umie tylko stękać, narzekać i jękaćmi niepokoić sfery wyżyn niebieskich. Chcesz być równym drugiem jeżeli nie pierwszym, sięgaj coraz wyżej i wyżej, roś czoło potem pracy, orz je zmarszczkami nauki i stań się szermierzem co umie słowem zadziwić, a ręką ująć choćby młot i uderzeniem sygnąć skry niby błyskawice. Jednostki takie to słońca w ziemskiej pielgrzymce ludzkości, blask ich o cudownej mocy, ciemnica przed nimi pierzcha, rozstajne drogi prostują się, Golgota rozpromienia a hymny anielskie spływają na ziemię, poją spragnionych, dzwigając upadłych.

Przysparzanie jednostek takich to matek zadanie, święte ich na ziemi posłannictwo. Nauka w cudownym swym związku, rozrzucona na różne gałęzie wiedzy, nawet w najdalszych swych konarach, niesie im pomoc, tylko na kartach jej trzeba chcieć i umieć czytać. Nie wątpię że czytelniczki naszego Tygodnika Mód, chętnie przyjmą wiadomość o nowych zdobyczach w tym kierunku osiągniętych. Wychowanie dzieci ważna to sprawa, nauka nowe w niem wykryła tajemnice tym ważniejsze, że nie oparte na abstrakcyjnym rozumowaniu, w oderwaniu ducha od ciała, ale na ich połączeniu i wzajemnym na siebie wpływie. Przenieśmy się więc w jej sfery, a pobłażliwość wasza niech mi będzie nieodstępna towarzyszką.

(d. c. n.)

Lamartine.

(Dalszy ciąg).

W drodze poznał się z pierwszym tenorem teatru San Carlo z Neapolu, ów tenor miał z sobą synowca w wieku poety. Dwaj młodzi ludzie zaprzyjaźnili się w krótkce. Przybywszy do Rzymu stanęli pod jednym dachem.

Nazajutrz kiedy Lamartine spał jeszcze, obudził go głos towarzysza, który pukając do drzwi oznajmił że śniadanie gotowe.

Ubrał się czem prędzej otworzył drzwi i krzyknął z podziwienia.

Synowiec tenora, zmienił się w piękną włoszkę, przestrojoną w ubiór narodowy, krucze splety włosów, otaczały wysokie jej czoło.

— Ubiór nie odmienia serca, rzekła zapłonią Rzymianka.

W krótkce potem Lamartine opuścił Rzym i udał się do Neapolu, szczęście widocznie mu sprzyjało, kiedy wydał ostatnią sztukę złota, spotkał się z młodym kolegą i przyjacielem, który miał kredyt nieograniczony u wszystkich bankierów w całych Włoszech.

Młodzi koledzy przechadzali się z upodobaniem nad zatoką morską, gdzie spotykali śniade Neapo-

litanki, których wejrzenie jak mówi poeta, ma płomienisty odbłask ojczywego ich nieba.

Lamartine oddawna zapomniał o pięknej Rzymiance. W Neapolu pokochała go dziewczyna z ludu, uroczą Graziela, która życiem przypłaciła miłość swoją!

Jęć to pamięci poeta poświęcił rzewną powiastkę znaną pod jej imieniem, i ową smutną zwrotkę.

Gdzie bujny gaj pomarańcz rzuca cień uroczy,
I zatoka Sorentu modre fale toczy,
Pod barwnym żywopłotem leży kamień mały,
Który nieraz potrąca podróżnik niedbaly.
Tam, lewkonja pokrywa bukiety wonnemi
Imię, co nigdy echem nie zabrzmiało na ziemi.
Czasem rozgarnie trawę przychodzień ze świata,
A gdy odczyta napis — i porówna lata,
Może z echem westchnieniem, wyrzeczcie bolesnie:
Umrzeć w roku szesnastym — zawczesnie! za-
[wczesnie!]

Żałosny młodzian, powrócił do domu rodzicielskiego po trzyletniej podróży. Szkolny towarzysz poprzedził go z powrotem, ale zostawił mu kredyt otwarty.

Przybyłego poetę do rodziców, jak syna marnotrawnego o którym mówi Biblia, rodzina przyjęła uczcią i serdeczną pieśczęcią. W owym czasie ojciec porzucił gospodarstwo, a przeniósł się na mieszkanie do Mahon.

„Matka moja — mówi Lamartine w pamiętnikach, zbladła i zadrżała widocznie, spostrzegłszy boleść wyrżytą na mojej twarzy. Ojciec cieszył się że urosł, matka za pierwszym rzutem oka poznała ilem przeboleł. Nazajutrz po moim powrocie — przyszła z rana do pokoju mego, usiadła u wezgłowia.

„Jesteś na koniec z nami biedne dziecko! rzekła z niewymowną słodyczą, jakżeś ty błądził! jakżeś smutny! któżby przewidział że cię w dwudziestym drugim roku życia, zobaczę z duszą tak zwiedłą i schorzałą.

Wzdrygnąłem się na te słowa.

— O matko przez łitość, zawołałem składając błażliwie ręce, nie mów tak pogardliwie o boleści, której przedmiot zupełnie ci nieznany. Gdybyś wiedziała.....

— Ja nie chcę nie wiedzieć! odrzekła, przykładając mi do ust białą rękę. Co z ciebie teraz będzie? Jak zniesiesz to życie puste, jednostajne, tym bardziej wystawione na burze serca, im bardziej oderwane od surowych obowiązków czynnego zawodu. Nasz majątek uszczuplił się bardzo, wiele nas kosztowało twoje wychowanie, więcej twoje podróże i szalone wybryki, nie czynię ci wyrzutów, ty wiesz dobrze, iż gdyby moje łzy mogły się zmienić w złoto, napelniłabym nimi dłonie twoje.“

Lamartine czując wyraźne powołanie do prac literackich, pragnął zamieszkać w Paryżu, tem ognisku światła, gdzie widział otwarte dla siebie pole do walki i tryumfu. Ojciec przyrzekł mu dawać rocznie tysiąc dwieście franków. Nie podobna było żyć za tak małą kwotkę w stolicy.

Wtedy dobra matka wydobyła ze szkatułki, diamentowy pierścionek, jedyny jaki jej pozostał z dawnych klejnotów. Wsunęła go eichaczem w rękę syna.

— Idź! szukać sławy! rzekła słodko.

I młodzian pojechał do Paryża, opatrzonej w listy rekomendacyjne do starych rodzin szlacheckich, ale z wyraźnym poleceniem, żeby nie zbliżał się wcale do cesarskiego dworu. Pod wpływem świetnych salonów arystokratycznego przedmieścia St. Germana, Lamartine został wówczas zawołanym legitymistą.

Niedługo potem opuścił znów Francję, i wyjechał powtórnie do Włoch. Umysł rozmarzony poezją, pociągał go za Alpy. Pragnął zapłakać na grobie słodkiej Grazieli chciał przebłagać jej pamięć.

W owych miejscach kędy ją poznał, pod cieniem kwitnącym pomarańcz, które oceniały ich głowę na samotnych brzegach, słuchając szumu fal morskich, utworzył większą część pierwszego tomu *Medytacji* tych cudnie pięknych elegji, natchnionych głęboką boleścią.

Żaden poeta nie przewyższył Lamartina w słodczy rytmu, w czystości i harmonji dźwięków. Posunął on bogactwo formy do najwyższego stopnia doskonałości artystycznej, poezje Wiktora Hugo porównano słusznie do „hucznego wodospadu“ poezje Lamar-

tina do wspaniałej rzeki, płynącej szerokim łożyskiem do morza nieskończoności.

Nad brzegami zatoki Neapolitańskiej, młody poeta dowiedział się o klęskach Napoleona, i o powrocie Burbonów do Francji. Pospieszył więc do Paryża, i zaciągnął się do służby wojskowej z wielką radością starego ojca, który przekładał szablę nad pióro — i nie dowierzał muzom.

Po powrocie Napoleona z wyspy Elby, Lamartine porzucił oręż, i nie podjął go już, nawet i wtedy kiedy Ludwik XVIII wrócił do Paryża, przez krwawe pola Waterloo.

Poeta zakochany był wtedy całą siłą młodego serca w pięknej Elwirze. I tę śmierć mu wydarła w pierwszym upojeniu miłości.

Oto słowa które poświęcił drogiemu jej wspomnieniu:

O widzę ją na łożu, milczącą i bladą,
Ze śmiertelnej pościeli martwe zwisło ramię,
Drugą ręką beśsilnie do serca przykładą
Krzyż, święte Chrystusa znamie!

A ja stoję u nóg jej struchlały i drżący,
I nie śmiem oczu wlepić w jej drogie oblicze,
Śnać przyoblekl ją śmierci majestat milczący,
W blaski niebios tajemnicze!

Nie śmiem, lecz kapłan czytał w głębi mego ducha,
I wyjął krzyż pomalą z jej ręki skostniałej,
Oto pamiątka rzecze — cała twa otucha,
To godło meki i chwaly!

Od tej chwili Lamartine stał się prawdziwym chrześcijaninem.

Po ciężkiej chorobie wywołanej bolesną stratą, spalił większą część poezji swoich a zachował z nich te tylko, które nacechowane były piętrem wiary.

Pierwszy tom Medytacji wyszedł z druku w roku 1820.

Był to czas niesłychanie prozaiczny. Płascy wierszopisarze z kilkunastu lat cesarstwa, pokłócili publiczność z poezją. Mniemano że panowanie jej przeszło na wieki. Kiedy się znów pojawiła w świetnej aureoli, gdy dźwięki harfy eolskiej zabrzmiały tak uroczo, cała Francja odpowiedziała im głośnym poklaskiem. Witano poetę jako zbawcę poezji, który z krzyżem w ręku zdruzgotał bożyszcze materializmu i powalił Woltera.

Powodzenie Lamartina było wielkie. Wydawca medytacji w przeciągu dwóch lat sprzedał 45,000 egzemplarzy tego dzieła: wszystkich zachwycali cudne pieśni *Jeziro, Modlitwa, Nieśmiertelność, Chrześcijanin umierający, Wieczór, Jesień*, i inne drobne arcydzieła, do których należy owa pyszna *Oda do Bajrona* o której powiedział Chateaubriand: „Ona warta więcej niż całe moje dzieło: Genjusz Chrystjanizmu!”

Posłuchajmy przegrywki do tego olbrzymiego zapasu, w którym poeta wiary występuje do walki z poetą rozpacz i zwątpienia:

× Czarna noc twą siedzibą — państwem groza blada,
Tak polem gardzi orzeł król puszczy zuchwały,
On jak ty na urwiskach stromych skał przysiadł,
Które zima zbieliła, gromy zdruzgotały,
Lub na maszcie rozbitym uraganu mocą,
Lub na pobojowisku wśród kałuży krwawej,
Gdy ptasze pokwilując piosenkę sierocą
Sciele ciche gniazdeczko w miękkim puchu trawy,
Na wyżyny Athosu on z wichrami pędzi.
Tam nad straszną przepaścią, do opok krawędzi
Czepia gniazdo i wpija dziób w drgające łono,
Gdy brzeg skały krwią ofiar ocieka czerwoną,
Na krzyk ich dzika rokosz w jego piersi rośnie
I kołysany burzą zasypia radośnie!

Bajronie! w one szlaki skrzydła cię unoszą!
Krzyk rozpacz, jedyną dla ciebie rozkosz,
Piers ludzka — oto pastwa pocisków twych godna!
Jak szatan przepaść okiem zgruntowałeś do dna,
Wśród odmetu od słońca od Boga daleki,
Duch twój błogą nadzieję pożegnał na wieki!

Ten tom poezji wyszedł bez podpisu — mimo to imię Lamartina przebiegało z ust do ust po wszystkich końcach Europy.

Szczęście sprzyjało wtedy pocie. Dla poratowania wątłego zdrowia, udał się do wód Aiz w Sabaudji. Tam poznał młodą angielską uroczej postaci, z wyobraźnią poetyczną połączoną z pierwszemi rodzinami angielskimi.

Panna Birck straciła niedawno ojca. Matka widząc w jedyną córcę pociechę swoją całą, przywiozła ją do Włoch, aby pod niebem Italii wykształcić ją w sztukach pięknych, do których córka szczególnie okazywała skłonność. W Anglii jeszcze pani Birck zaprzyjaźniła się z rodziną margrabiego Lapierre, z rodziną tą wybrała się w dalszą podróż.

Widok uroczych Alp rozkołysał tem silniej artystyczną wyobraźnię młodej angielskiej, przysporzył jej serce do słodkich wrażeń. Otóż na wieczorach u państwa Lapierre czytano w małym kółku Medytacji Lamartina. Panna Birck upojona czarownym dźwiękiem tych pieśni, przepisywała je własną ręką w wielkim album i zdobiła je pięknymi rysunkami. Wkrótce potem przybył tam młody poeta. Dwie dusze artystyczne pojęły się od razu, ale do połączenia młodej pary, niemałe nasuwały się trudności. Lamartine gorliwym był katolikiem: panna Birck protestantką. Matka stanowczo sprzeciwiała się związkowi.

Poeta powrócił do Paryża, pani Birck z córką pozostali w Chambery. Wkrótce Lamartine za staraniem przyjaciół otrzymał miejsce sekretarza przy ambasadzie przeznaczonej do Neapolu. Jadąc do Włoch, wstąpił do Makon, pożegnał starych rodziców, otrzymał ich błogosławieństwo, i udał się do Sabaudji. Tam prosił powtórnie o rękę panny Birck i na ten raz nie został odrzucony, podczas niebytności jego młoda angielska została katoliczką. Ślub odbył się w królewskiej kaplicy w Chambery.

Małżonkowie udali się do Neapolu. Znaczny majątek żony zapewnił niepodległe stanowisko. Szczęście obojga było zupełne, tym zupełniejsze że Bóg pobłogosławił ich wkrótce dziecięciem. Julia przysłała na świat.

Dziecię urodziło się słabe i wątłe, ale w drugim roku życia, gdy rodzice przywieźli ją do Saint Point w okolicy Makon, przyszło do sił pod wpływem świeżego wiejskiego powietrza. Matka pielęgnowała tkliwie córkę, która od małego dziecka okazywała umysł nad miarę rozwinięty. W szóstym roku czytała już płynnie medytacje, a niektóre ustępy powtarzała na pamięć. Pierwsze zgłoski składała na ową starą Biblię, na której ojciec uczył się niegdyś czytać, i pilnie jak on przyglądała się pięknym obrazkom.

W miarę jednak rozwijania się umysłu, siły dziewczynki coraz bardziej watały, kiedy mając lat jedenaście przystępowała po raz pierwszy do stołu pańskiego, nie była w stanie utrzymać w ręku wielkiej jarzanej świecy.

Umysł jej tymczasem bogacił się wszechstronnie z dniem każdym. W dwunastym roku grała, rysowała i malowała tak jak matka.

Wówczas to lekarze radzili pocie aby zawiózł dziewczkę na wschód. Matka chwyciła się radośnie tej myśli jakby deski zbawienia — pewną była że pogodne słońce wschodu, i długa podróż morską, wrócić dziecku stargane siły. Gorliwa chrześcijanka pragnęła też gorąco zwiedzić miejsca wydeptane stopami Zbawiciela.

Z początkiem lata przygotowano wszystko do dalekiej podróży. Julia przed odjazdem przyglądała się z tęsknotą uroczym wzgórzom pokrytym winnicami które miała pożegnać. W chwili odjazdu zalewała się łzami, żegnając zgromadzoną rodzinę.

— Ciociu, rzekła do hrabiny Cessiat „gdyby przypadkiem nasz okręt się rozbił i gdyby znaleziono moje ciało, każ je pochować w Saint Point!”

Podróżni udali się z wiosną do Marsylii. Akademia tego miasta powitała ze czcią poetę. Lamartine odpowiedział jej rzewnym wierszem. Oto wyjątek z niego:

Jeżeli na burzliwe puszczałam się przygody
Z tem, co sercu mojemu najdroższe na świecie,
Jeśli powierzam śmiało zdrańcom falom wody
Dwie części duszy mojej, małżonkę i dziecię.....

To dla tego, żem czoła nie starzał w tym pyłe
Gdzie ślad stóp Zbawiciela odbił się głęboki,
Bom ust mych nie przycisnął do twardej opoki,
Którą Anioł odważył w Zmartwychwstania chwilę.
Bom ja w pierś nie uderzył boleścią skruszony
W tych miejscach, gdzie On przyszłość rozwiewał

[swym skolem.

Gdzie z krzyża świat Boskimi ogarnął ramiony,
Gdzie ludy błogosławił z czołem pochylonem.

Dla tego ja się puszczałam w nieznane obszary,
I skarby moje fałom powierzam ze drżeniem,
Mniejsza oto gdzie wichur potraśnie konary
Wyschłego pnia, co ziemi nie chroni swym cieniem.
Żegnam was ojcze! siostry! chwila drogi bliska,
Żegnaj mi biały dworek w bujnych lip osłonie,
Żegnam i was po błoniach pływające konie,
I ciebie psie mój wierny — dziś sam u ogniska.
Wasz obraz pójdzie za mną jakby cień tajemny,
Co przeszłości ogniwek nasze myśli splata —

Ale czyż mi dzień zabyśnie, mniej chmurny, mniej
[ciemny
Gdy do was znoyny pielgrzym powrócę ze świata.

(d. a.)

Pogadanka.

Nowinek na Warszawskim bruku nigdy nie brakuje. Zrodzone w ulicznym zgłętku, na poddaszu, w salonie, w chmurach lub na ziemi w obczyźnie lub pod własną strzechą, świeże, młodziutkie, jak pączek wiosennej róży, idą w świat daleki niby wędrowne ptastwo zapełniające gwarem szlaki swego przelotu. Gnane wichrem ciekawości ludzkiej, żądne coraz świeższej strawy, wypierając się wzajemnie wprędce zginęłyby w otchłani niepamięci, ale tłocznie drukarskie stoją na straży, pod ich gniotącym uściskiem nowinka ożywia się, otrząsa z niepotrzebnych naddatków i staje się nieśmiertelną.

Nieśmiertelność! cudne to słowo. Pamięć swego imienia przedłużać w nieskończone wieki, napawać się już dziś echem sławy czekającej nas w przyszłości, to raj po którego stracie dość się żałować możemy. Troskliwość w zaskarbieńcu jej godna uznania: rozwijamy ją też ze szczególną drobiazgowością. Po żarliwej sprzeczce o nazwisko budowniczego stawiającego jeden z domów na Krakowskim przedmieściu, rozwiązanej dość zabawnie bo przyznającej niewiadomości pod tym względem samemu właścicielowi, obecnie ukończoną zostało niemniej ważne nieporozumienie o nazwiska konstruktorów wieży ratuszowej i wznoszących się na niej gzymsów i chorągiewki. Wprawdzie prawda wymagała wyjaśnienia, ale po cóż było zarzuty i dowody wprowadzać w szałki publicznej rozprawy?

Zatopieni w drobnostkach, myśli poważnej śmieszego odmawiamy lotu, i podnosimy ją tylko chwilowo, z pewną obawą a nawet nieśmiałością. Mam tu głównie na myśli zakład rzemieślniczy dla kobiet urządzony nader starannie przez p. Szmidta. Pożyteczność jego ogólnie zyskała uznanie, nadzieja powodzenia była niemal pewną, zdawało się że w pierwszym dniu swego otwarcia, zapełni się rojem młodych aspirantek, pragnących zdobyć umiejętną pracę zaskarbić sobie byt niezależny w przyszłości. Ułuda krótko trwała, czternaście zaledwie kobiet przystąpiło do zapisu, a pomiędzy niemi młodych panien trzy się tylko znalazło. Pozostała reszta zapełniły matki rodzin i wdowy zubożałe, które przeszedłszy przez smutne zmiany losu, właściwie nie nauki już wymagają ale stałego zarobku.

Fakt ten godny zastanowienia. Potrzeba pracy, godność jej, pomyślność jaką zapewnia, są to pewniki tak już oklepane, że podnoszenie ich w rozumowaniu nudnymi nieznosnym się staje. Teorii pracy mamy po uszy, dla czegoż przy praktycznym jej zastosowaniu tak wątpliwa i beśsilna się okazuje? Czyżby w nas brakło córek rodzin, zmuszonych koniecznością oglądać się na przyszłość? Czyż każda z nich może być pewną, że ta kapryśna zwodnica w miejsce czarownego obrazu rodzinnego kółka, nie podsunie jej pustek osamotnienia i tulactwa zawsze boleśnego?

Budowy wieków chwila w gruz nie obala: nałogi przyzwyczajenia, opaczne myśli, przesady, są to także siły nie łatwo dające się pokonać, ale jeżeli ożywiające je zasady, postępowe pojęcia w nicosć obróciły, jeżeli pojęciom tym nie szczerono pokłasku i uznania, z kądże ta zwada między teorią a czynem wprowadzającym ją w wykonanie?

Pięknie brzmiące słowa jak woń kwiatowa, pierwszy lepszy podmuch unosi i rozprasza. Nie grzejąc ani karmiąc, bawią chwilę, a z pod nich podnosi się pustynia za pustynią, coraz jałowsza coraz okropniejsza. Żal nie ożywi ich, smutek niepokrzepi,

narzekania nieporuszają, bo gdzie trzeba pracowitej ręki, tam sama chęć nie wystarczy.

W zakładzie rzemieślniczym pana Szmida, zapisane uczenie w większej części nie są tutejszego pochodzenia. I to fakt bardzo wymowny. Złączywszy go ze szczupłą liczbą kandydatek, pokaże się jasno, że pomysł zakładu już nie obojętnie ale niechętnie przez Warszawę przyjęty został. Wyrok ten prasa periodyczna przyjęła w milczeniu. Jeden tylko *Przegląd tygodniowy* pana A. Wiślickiego, co szczerem słowem wyrzutu odpowiedział na tę poniewierkę usiłowań tak zaszczytnych i będących na czasie.

Korzystając ze wzmianki o zakładzie p. Szmida, chciałem obszernie w tem miejscu dać sprawozdanie o Bibliotece dzieł popularno-naukowych, wydawaną nakładem redakcji *Przeglądu tygodniowego*, z której obecnie wyszedł już tom pierwszy dzieła p. t. *Praca kobiet czyli zakres ich działalności*, praktycznie okazany w przeszło 600 powołaniach i zawodach podług dzieła Wirginji Penny obrobionego przez A. Dania. Praca to niezmiernie ważna i pożyteczna; wskazanie sześciuset pomysłów do uczciwego zarobkowania dla rąk kobiet wydziedziczonych z fortuny, stanowi cyfrę bardzo poważną. Możeby z nich choć dziesiąty choć piąty procent okazał się właściwym dla naszej miejscowości, ale któż je podniesie, kto je wprowadzi w wykonanie? Panienki zamożniejsze nie potrzebują, ubogie nie chcą, więc dla kogoż siliłbym się na pracę tak mozolną i niewdzięczną? Ciekawość jednak ma swoje prawa, zaspokoję ją więc później po odczytaniu całego pierwszego tomu, nie chcąc naśladować wielu recenzentów Warszawskich, skorych do krytyki ale nie do poznania rzeczy przez siebie sądzonych.

Warszawa zamknawszy wszystkie ogródki bawiące ją śpiewem i scenicznymi wystąpieniami, w ubiegłym tygodniu pożegnała się z muzyką pana Bilzego który we czwartek wyjechał, już w piątek dał koncert w Toruniu. Szkoda go niezmiernie, wprawdzie ubytek ten ma zastąpić orkiestra pod dyrekcją p. Lewandowskiego wystąpieniami w sali resursy obywatelskiej, ale tylko w święta i niedziele. Byłoby to może i dostateczne, tylko.... że chcąc koncertować na wzór orkiestry p. Bilzego, nie dość jest umieć grać trzeba także koniecznie chcieć pracować. Symfoniczne koncerty ma podobno jak w roku zeszłym urządzić p. Minchajmer i w zimie tegorocznej, myśl przewyborna, tylko.... należy koniecznie zapomnieć o cenach półrublowych a poprzestać najwyżej na dwuzłotówce. Niechże z zeszłorocznego niepowodzenia nabyte do świadczenia nie będzie stracone, gromada to wielki człowiek, umie zapłacić suto i nieskąpą ręką, ale trzeba pamiętać że Krezusów nader mało posiada.

Ubytek teatrzyków łatwy do zniesienia, a wreszcie mając dwa miejscowe, strata ich w nikim zapewne ani wielkiego żalu, ani zbytecznej tęsknoty nie obudzi. Ciepła pora i świeże powietrze w jakich działalności swą rozpościerały, jedyną były ich zaletą. Gra bowiem składających ją jednostek z małym nader wyjątkiem, była tak nędzną i nieumiejętną, że istotnie podziwiać trzeba było odwagę ludzi wdzierających się z pewnem rodzajem zuchwalstwa w szranki artystycznego zawodu. Nie żąda się tu pierwszorzędnym znakomitości, ani szczególnego wyboru scen przedstawianych, ale sądzę że publiczność Warszawska ma prawo domagać się przynajmniej znośnej gry artystów i sztuk z sensem napisanych. Tu i jedno i drugie nie miało prawie nigdy miejsca. Brano co się zdarzyło, co wpadło samo w ręce i odgadano to z przestankami, z zacinaniami się, lub odśpiewano głosem ledwo że nie baranów.

Gdyby nie tańce najlepiej się udające, zdobiące się zawsze w rześkość i poczucie artystyczne: gdyby nie nadzwyczajne dodatki słuchającej publiczności, lubiącej czasami odbierać wrażenia głośno wypowiadać i głos swój łączyć z nudnemi tyradami występujących, bytność w tych teatralnych ogródkach byłaby

często do niezniesienia. Napelniały się jednak zawsze dość licznymi tłumami a w dniu świątecznym nawet przepełniały, tak że dla spóźniających się nie zawsze miejsce znaleźć się dało.

Gdyby ktoś z głową i jakim takim zasobem pieniężnym, chciał się zająć urządzeniem podobnego teatrzyku letniego, gdyby zgromadziwszy artystów o-swojonych z wymaganiami sztuki, przygotował staranny wybór scen mających się przedstawiać, z pewnością zrobiłby wyborny interes i wpłynął niezmiernie korzystnie na estetyczne wykształcenie rzemieślniczej klasy publiczności Warszawskiej. Teatra niemieckie jakie tego lata gościły w naszym mieście cieszyły się wielkiem powodzeniem: nawiedzała ich licznie zarówno polska jak niemiecka publiczność, bo też w nich nie nie brakowało wszystko było w zgodzie, zarówno sztuka z artystami jak i wybór sztuk ze smakiem widzów. Niechże to będzie nauką dla przyszłego przedsiębiorcy: z partactwem we wszystkim czas już zrobić wieczysty rozbrat, i robiąc coś należy koniecznie robić dobrze.

Od pewnego czasu krąży wiadomość o budowie teatru letniego w Saskim ogrodzie. Sama myśl obdarzenia Warszawy miejscem tak miłej rozrywki, zgodna jest niezmiernie z życzeniem ogółu, gdyby jednak ogród Saski można było uwolnić od tego przeznaczenia, byłoby to rzeczą jeszcze więcej pożądaną. Miejsce to tak rozkoszne, tak w lecie napelnione codziennie licznymi tłumami, dostawszymi jeszcze teatr zwińniętoby zupełnie swoje przeznaczenie i stałoby się ulicą. Zamiana ta byłaby bardzo przykrą a niewiele już do tego brakuje. Wolny plac przy ulicy Niecałej dotykający ogrodu, byłby do tego najwłaściwszym, zwłaszcza że chwilowe zatamowanie przejazdu podczas przedstawienia nie byłoby ani trudnem ani nie przynoszącem nikomu wielkiej niewygody.

O UBIORACH.

Przy zbliżającej się jesieni, będzie zapewne nie obojętną dla czytelniczek naszych wiadomość o wyrobach wełnianych, zakupionych w Paryżu przez pierwszorządne magazyny.

Na jesienne kostjmy do wyjścia na ulicę, tartan w kratę szafirowy z seledynowym i czarnym w rozmaitych odcieniach, krata większa lub mniejsza według upodobania. Jest także tartan pasowy w kratę różnokolorową, kostjmy tartanowe składają się zwykle ze spódniczki, koszulki i płaszczyka szkockiego z pelerynką. Do spódnicy dodaje się szeroki wolant ukośny.

Jest także gruby ostry merynos w kratę, wyborny na ranne szlafroki lub na sukienki dla małych dziewczynek. Szlafrok taki podbity gładką flanelą pasową zastąpić może watowany.

Na kostjmy widzimy też gładką serżę, czyli gruby merynos ostry w kolorach: fioletowym, brązowym, granatowym i maron. Kostjum serżowy składa się zwykle ze spódnicy i paletoty podpinanego w festony, przepasanego szarfą. Paletot można podszyc flanelą pasową, za garnirunek służy czarna gruba wełniana pletnia, guziki powinny być czarne szmuklerskie.

Na więcej strojne kostjmy widzimy ryps gładki w kolorach, ciemno morderowym, ciemno orzechowym, ciemno piaskowym, popielatym, ciemno seledynowym i czarnym. Pod taki kostjum daje się spódniczka do ziemi z ukośną falbaną z tkaniny zupełnie nowój w drobne różnokolorowe prążki n. p. na tle pasowym, w prążki białe, czarne, seledynowe i szafirowe. Kostjum powinien być krótki, podpinany w festony po bokach.

Do najnowszych wyrobów należy tkanina wełniana, w drobny broszowany deseń, bardzo mięsiasta i sztywna, zwykle mieniona z czarnem. Zalecamy ją na suknie i kostjmy zimowe. Deseń w niej rozmaity, w maleńkie pierożki, w sz-

chownicę lub w gęszą skórę. Kolory najmodniejsze, fioletowy, brązowy, morderowy, rozmarynowy, ciemno orzechowy.

W tychże samych kolorach zwraca uwagę wyrób podobny do wełnianego atlasu. Spódniczka do takiego kostjmu powinna być z owój tkaniny w prążki, o której mówiliśmy powyżej.

Jest jeszcze nowy zupełnie wyrób złożony z wełny i jedwabiu — naśladowujący *Crêpe de chine* w kolorze złotym, mieniący się z czarną nitką, z tej tkaniny robią całe suknie lub też spódniczki z wolantem do czarnej kaszmirowej baskiny czyli tuniki.

Widzimy także gładkie popeliny wełniane w rozmaitych ciemnych kolorach. Na spódniczki do takich kostjumów, są popeliny tegoż koloru w czarne paski rozmaitej szerokości, brązowe z czarnem, fioletkowe z czarnem, popielate z czarnem itp.

Zasługuje na uwagę ryps wełniany, bardzo miękki i układny, wyborny na podpięcia i wolanty w kolorach ciemno rozmarynowym, ciemno brązowym i morderowym.

Dla dzieci i młodych osób na suknie zalecamy bardzo wyrób wełniany ostry, w drobne prążki szafirowe z czarnem, fioletkowe z czarnem, seledynowe w dwóch odcieniach, brązowe w dwóch odcieniach, popielate z czarnem itp. Do takich spódniczek może iść tunika gładka w czarnym lub odpowiednim kolorze.

Oto i wszystko co mamy z nowości wełnianych. W ogóle suknie gładkie będą w tym roku najmodniejsze; pod kostjum najczęściej używana spódnica w żywych kolorach w paski, lub kratę.

Suknie tybetowe, zarówno i w zimie* będą ogólnie używane, tybet bowiem odpowiada zupełnie potrzebom, gdyż się układa w draperje, i ładnie spada w ukośne wolanty, tak dziś przyjęte, do sukien i kostjumów.

Czarne tuniki kaszmirowe, to jest paletoty szerokie przepasane szarfą, będą miały nie małą wziętość. Można je nosić na kolorowej jedwabnej lub wełnianej spódniczce. Ubierają je zwykle wodą albo falbanką. Spódnica czarna z dobrego pół aksamitu, ślicznie wygląda pod kaszmirową czarną tuniką.

Opis ryciny paryskiej.

Figura 1. Suknia z lilla alpagi garnirowana falbankami z białą wypustką. Nad każdą falbanką skośna pliska, na trzy palce szeroka. Kapelusz okrągły z lilla wstążką i białymi kwiatami.

Figura 2. Suknia z wyrobu *sultane*. Dolna spódniczka w pasy, przybrana u dołu falbaną; powierzchnia z materiału gładkiego obszyta frendzlą. Kapelusz czarny koronkowy przystrojony wstążką koloru *sang de boeuf* i kłosami.

Figura 3. Ubranie dziewczynki. Suknia z popielatego *toile de laine* przybrana falbanką z obcięciem koloru *bordeaux*. Buciki popielate. Kapelusz okrągły.

Korespondencja.

Pani Tekli Obryc. Z przesłanych rs. 2 pozostaje w Redakcji kop. 11.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

Od Redakcji. W kwartale czwartym r. b. rozpoczynającym się z dniem 1 Października, Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami. Cena prenumeraty wynosi: Kwartalnie w Warszawie rs. 1 k. 80 na prowincji zarówno w Cesarstwie jak Królestwie rs. 2 kop. 50.

Pieniądze prosimy nadsyłać *wprost do Redakcji* pod adresem mieszczącym się w każdym numerze.